№ 38. Warszawa, dnia 17 (5) Września 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Redaktor PRAWDY przeprasza czytelników, że zbolały i spłakany po stracie najdroższego dziecka, które było natchnieniem jego życia, nie może w tej strasznej chwili dopełnić wszystkich obowiązków względem pisma.

INICYATYWA PRYWATNA.

Narody tak samo jak pojedyncze jednostki cierpią często z powodu uchybień i braków, nie zasługujących na nazwę win a szkodliwszych w praktyce życiowej od tych ostatnich. Są właściwości nie plamiące charakteru człowieka, nie rzucające cienia na zbiorową jednostkę, które przecież wpływają ujemnie na wszystkie stosunki, stają na wspak rozwojowi, tak ekonomicznemu, jak naukowemu i zagradzają wszelką drogę postępu.

Taką szkodliwą właściwością naszą jest brak inicyatywy, spuszczanie się i oczekiwanie na działanie drugich, popęd naśladowniczy i niczem nie wytłumaczona lękliwość tam, gdzie należy czynić coś na własną rękę, rzucić pomysł jaki i wykonać go samemu.

Nigdzie może zastosowanie książki Smiles'a, *Pomoc własna*, nie była tak pożądaną i nigdzie mniej nie znalazła echa. Być może, iż powodów zanegowania wszelkiej przedsiębierczości szukać należy w ustroju całej rasy słowiańskiej, być może iż wpłynęło na to położenie kraju, przez długi czas nie dające zupełnie pola obywatelskiej działalności. Być może także, iż część winy spada tutaj na wychowanie, oparte w ogóle na rutynie, nie pobudzające inicyatywy osobistej, ale przeciwnie zacierające je konwenansową niwellą, pod którą przez cały szereg pokoleń usiłuje podciągnąć wszystkie umysły.

Nad przyczynami faktu zastanowić się warto, na dziś jednak czynić tego nie zamierzamy, bo czy działa tutaj pierwsza, druga, lub trzecia z wyżej wzmiankowanych przyczyn, czy też łączą się wszystkie razem na jego wytworzenie, nie zmienia to istoty rzeczy, ani osłabia jej zgubnego wpływu na wszystkie nasze stosunki, a co najważniejsza stawia nas w coraz gorszych i trudniejszych warunkach wobec wzmagającego się ruchu we wszystkich gałęziach wiedzy i przemysłu, jaki panuje w całym ucywilizowanym świecie.

Ruch ten wymaga właśnie przymiotów, których nam braknie; jeśli więc nie zdołamy wyrobić ich w sobie, musimy być coraz bardziej zdystansowani i pominięci na każdem polu. Że tak jest, łatwo się przekonać, rzuciwszy okiem na fakta najbardziej znane.

Cudzoziemcy zagarniają u nas prawie wszystkie ważniejsze zarobki, z wielkim uszczerbkiem krajowców, którzy jednak z trudnością konkurencyą z nimi wytrzymać mogą, bo rzadko umieją stanąć w szeregach walczących o byt, lub dobić się wytrwałością pracy i chleba. Skarżymy się na rozpanoszenie obcego żywiołu, ale zapominamy o tem, że zbyt często cudzoziemiec jest lepszym wyrobnikiem lub technikiem od nas, i o tem, że na polu ekonomicznem protekcya daje zwykle zgubne owoce, więc tam wszędzie, gdzie robotnik polski okazywał się lepszym lub tańszym od cudzoziemskiego otrzymywał nad nim pierwszeństwo.

Nie myślimy tutaj stawać w obronie przemysłowców, którzy powodowani zawiścią rasową chętniej dają zarobek ludziom innej narodowości, dowodzimy tylko, iż gdyby krajowcy, zamiast uskarżać się na podobne niesprawiedliwości, pracowali gorliwie i wytrwale, dobiliby się niezawodnie miejsc, o jakie konkurują i potrafiliby je utrzymać.

Toż samo powiedzieć można o całym krajowym przemyśle. Jeżeli jest on przeważnie w rękach cudzoziemskich, to głównie z powodu, że pozostawiliśmy to pole w zupełnem odłogu, a dzisiaj, widząc fortuny zbudowane na bawełnie, skórach lub fabrykach wszelkiego rodzaju, leniwo bierzemy się do naśladownictwa, albo najczęściej naśladujemy rzecz samą, nie wchodząc w jej zasady, bez fachowego wykształcenia lub praktyki, i dlatego zdarza się często, że tam gdzie zyskiwali inni, my tracimy. Wówczas oskarżamy znowu wypadek, spółzawodników, często intrygę lub niesumienną konkurencyą, zapominając, że inni mają też same trudności do zwalczenia a przecież umieją wyjść z nich zwycięzko.

Brak nam tutaj jak wszędzie tej inicyatywy indywidualnej, która rozpatruje gruntownie położenie, zastanawia się i obrachowywa, ażeby działać stosownie do okoliczności. Ruch przemysłowy, jakiemu po większej części ulegamy, niema nic samoistnego, jest objawem naśladownictwa i dlatego często bardzo nie przynosi pożądanych skutków.

Skarżymy się, że giniemy dla braku kapitału, i prawda, iż pod tym względem kraj nasz uboższym jest od wielu innych, że są przyczyny lokalne, stojące na przeszkodzie wytwarzaniu się takowego. Przecież zaznaczyć trzeba, iż wielkie zakłady przemysłowe najczęściej rozpoczynały się od małych zawiązków, a wzrastały powoli wytrwałością i pracą założycieli, którzy nie ustawali w usiłowaniach, ale wyszukiwali wszelkich sposobów zaprowadzenia ulepszeń i oszczędności.

Jeśli zaś powołamy się na kredyt, jaki zwykle posiadają codzoziemcy, to przekonamy się znowu, że kredyt opiera się na moralnym kapitale zaufania i że wady za-

równo jak i przymioty nasze sprzeciwiają się nieraz uzyskaniu tego kapitału, którym przecież jedynie w braku własnego, ratowaćbyśmy się mogli.

Toż samo powiedzieć musimy o wszystkich innych wypadkach i trudnościach, mnożących się z dniem każdym, w których działaćby mogła inicyatywa prywatna. Co koniec sierpnia powtarzają się bolesne sceny, pozy rozpoczynania roku szkolnego z powodu braku miejsca w gimnazyach dla wzrastającej liczby żądających w nich pomieszczenia. Wiemy, iż złożywszy potrzebny fundusz i zrobiwszy właściwe urzędowe kroki, możnaby uzyskać pomnożenie liczby zakładów naukowych, ale tutaj trzebaby właśnie inicyatywy czyjejś, a przed tą każden się cofa. Nie jeden poniósłby chętnie ofiarę pieniężną; pod tym względem jesteśmy często hojni nad możność, ale tam, gdzie idzie o staranie, o pracę, a nadewszystko o wyjście po za koło rutynicznych czynności, tam cofamy się lękliwie, i oglądając się jedni na drugich, często lata całe trawimy w bezczynności w obce wzrastających potrzeb.

Nie będziemy tutaj rozbierać wszystkich wypadków, w których przynosimy samym sobie tym sposobem nie obrachowane szkody, zaznaczamy główne i wszystkim znane fakta, bo widzimy w nich źródło bardzo wielu, jeśli nie wszystkich klęsk, jakie kraj nasz trapią.

Daremnie składalibyśmy na okoliczności ujemne strony charakteru, jakie się w nas wyrobiły, bo jakiekolwiek byłyby ich powody, skutki spadają na nas i przed odpowiedzialnością za nie uchylić się nie jesteśmy w stanie. Jedno z dwojga więc, albo przez skutki te coraz bardziej gnębieni, będziemy powoli zmuszeni ustępować miejsca żywotniejszym pierwiastkom, albo też, obrachowawszy się z sobą, starać się będziemy w sobie samych i we wzrastających pokoleniach wyrobić warunki, na jakich nam zbywa i zająć należne sobie miejsce.

Wierzymy bowiem, że narody stokroć więcej niż jednostki los swój dzierżą we własnych rękach, gdyż nie są skrępowane czasem, nie są ścigane widmem śmierci, mogą więc działania swoje obrachowywać na lata i wieki, a jeśli kładną się w grób to dlatego tylko, że żyć nie umiały lub nie chciały.

Historya zresztą poucza, iż grób nie istnieje dla tych, co posiadały indywidualność i świadomość siebie.

Nie sięgając jednak do podobnych zagadnień, pragnęlibyśmy wpoić w ogół przekonanie, że mniej lub więcej w danej chwili zawsze coś dla dobra ogółu uczynić można, że w społeczeństwie naszem jest pełno miejsc niezajętych i pełno prac niespełnionych, które oczekują na ludzi dobrej woli, że jakąkolwiek jest nasza dola, zawsze łatwiej i pożyteczniej szukać winy w nas samych niż po za nami, gdyż pierwsze, jesteśmy mocni poprawić, a drugie leżą po za granicami naszej możliwości.

Ale na to potrzeba przedewszystkiem wyjść z zaczarowanego koła rutyny, mieć odwagę własnych przekonań, i nie lękać się uczynić tego, czego nie czyniono dotąd, co nie jest usankcyonowane obyczajem powszechnym, jednem słowe zdobyć się na inicyatywę samoistnego działania.

Jeśli zaś pod względem dobrobytu i pomyślności powszechnej wyrobienie przymiotów, na których nam zbywa okazało się pożytecznem, o ileż więcej jeszcze byłoby ono dobroczynne w stosunkach prywatnych, o ile życie każdej jednostki byłoby łatwiejszem, jeżeliby zamiast spuszczać się i oglądać na drugich jednostka ta rachowała na siebie samą. Gdybyśmy byli w stanie zbadać przyczyny katastrof, które tak często rujnują byt rodzin i doprowadzają ludzi do samobójstwa lub zupełnego moralnego upadku, niezawodnie w wielu razach spotkalibyśmy się z brakiem inicyatywy i niezaradnością, jaka się z tego powodu wyrabia.

Z czynnych zaś energicznych i pracowitych jednostek składają się żywotne społeczeństwa; dobrobyt osobisty wyrabia bogactwo kraju a w dzisiejszych stosunkach kraj zacofany pod względem ekonomicznym musi cierpić na każdem innem polu. Są to elementarne prawdy, które jednak nieustannie powtarzać musimy wobec zastoju i apatyi, jaka nas otacza, a przeciw której powołujemy do walki wszystkich ludzi miłujących własne społeczeństwo.

W. M.

NIEMCY A GERMANOWIE.

Kwestya Germanii Tacyta wywołuje od dłuższego czasu gorące spory pomiędzy uczonymi; z jednej strony występują obrońcy z p. Lindenschmit'em na czele, głosząc *orbi et urbi*, że Germania tacytowska jest etnograficznem pojęciem, że zatem siedliska dawnych germanów a dzisiejszych niemców sięgały daleko na wschód i zachód i obejmowały całą środkową Europę. Na poparcie swej tezy sięgnęli najpierw do grobów, a ceramika wykopaliskowa miała poprzeć dowodami ich literackie teorye. Dokumenta, wydobyte z prastarych mogił, rzuciły nowe a bardzo dla nich niemiłe światło na mroczne dzieje ludów europejskich, okazały bowiem dowodnie, że popielnice słowiańskie czyli t. z. lausitzer Typus sięga daleko po za lewy brzeg Łaby do Stade, następnie Holsztyn i Meklemburgia roją się od cmentarzysk przepełnionych ceramiką anti-germańską, że wymienimy główniejsze jak Werle, Friedrichsruhe, Vipperow, Krakow i t. d., których ceramikę uznano jako obotrycką i wendyjską. Nie jest to naszą zasługą, że przyznano słowianom owe grobowce i kurhany, sami bowiem niemcy badając troskliwie dzisiejsze swe posiadłości i porównywając te wykopaliska ze swemi t. z. Kesselurnen (typ germański) uznali zdobytą ceramikę jako słowiańską, wypadł zatem z rąk Lindenschmita oręż a nawet zwrócił się przeciw jego teoryi. Wielką w tym względzie zasługę położyli i angielscy badacze jak I. M. Kemble i dr. Latham, którzy pierwsi zwrócili się przeciw uroszczeniom niemieckim, stonowcze jednak rozstrzygnięcie tej zawiłej sprawy zawdzięczamy znakomitemu badaczowi Rudolfowi Virchow'owi.

Nie zasypiano także sprawy na drodze historyczno-literackiej, roztrząsając i rozświetlając Germanię Tacyta — u nas prócz prac W. Maciejowskiego posiadamy cenną w tym kierunku książkę dr. W. Kętrzyńskiego: *Die Lygier ein Beitrag zur Urgeschichte der Westslaven*, całą zaś literaturę tak niemiecką jak i polską zebrał sumiennie dr. Sieniawski w swej najnowszej pracy *Zarys dziejów słowian zachodnich*.

Te spory i wzajemne pretensye nie ustały po dziś dzień, zaognily się raczej tak, że np. dr. Marschall nie wahał się w naukowej pracy nazwać prawe porzecze Wisły: *Der nordöstliche Winkel Deutschland*, a w pokrywie popielnicy widzieć prototyp pickelhauby.

Gdy się jednak broń dotychczasowa, t. j. wykopaliska tak ceramiczne jak i bronzo-

---

FOTOGRAF.

Szkic Alfonsa Daudet'a, przekład E. H.

Ponieważ ich gospodarstwo bardzo szczupłem było na pozór, a meble wszystkie zmieścić by się były mogły w małym wózku ręcznym, gospodarz wymagał zapłaty za mieszkanie z góry. Wprowadzili się do świeżo wykończającego się domu, na piąte piętro, na jednym z tych nowo założonych bulwarów, nie doprowadzonych jeszcze do porządku, gdzie było pełno gruzów, napisów na tablicach, placów pustych, ogrodzonych deskami. W ich maleńkim mieszkanku, złożonem z trzech szczupłych pokoików czuć mocny zapach świeżej farby, jasno w nich bardzo; przy tym blasku widoczniej jeszcze nagie odbijają mury. Najprzód jest pracownia z oszkleniem wielkości klosza od melonu, kominek pruski ciemny i zimny, na nim trochę koksowego węgla, który się zapali wtedy dopiero, gdy nadejdą goście.

Fotografie całej rodziny wiszą na ścianie: ojciec, matka, troje dzieci, w pozycyi siedzącej, stojącej w grupie, oddzielnie, — najrozmaiciej; potem kilka gmachów publicznych i pomników, kilka widoków więkskich w blasku słonecznym. Pochodzi to z czasów gdy byli bogaci, a ojciec bawił się fotografią dla własnej przyjemności. Teraz nadeszła ruina, nie mając innego rzemiosła pod ręką, probuje wytworzyć je sobie z tej niegdyś rozrywki niedzielnej.

Aparat, który dzieci otaczają z zachwytem, połączonym z obawą, zajmuje honorowe miejsce na środku pracowni; w tych nowych miedzianych, błyszczących przyrządach, w tych szkłach wypukłych i jasnych, skoncentrowany cały zbytek, cała wspaniałość ubogiego, małego mieszkanka. Inne sprzęty stare, połamane, zużyte, a tak ich niewiele! Matka ubrana w starą suknię czarną jedwabną, pocerowaną, na głowie ma kawałek koronki, stara się wyglądać jak dama sklepowa, a tu nikt się nie zjawia. Ojciec za to zdobył się na piękną czapeczkę à l'artiste, i aksamitny surducik, żeby na mieszczanach dobre sprawić wrażenie. W tym nieodpowiednim stroju, z dużem wyłysiałem czołem, z dobrodusznem, zadziwionem spojrzeniem, pełen złudzeń, ma minę równie świeżą jak jego aparat. A jak się biedak krząta! Jak swój fach bierze na seryo! Posłuchać tylko jak mówi do dzieci: „Nie wchodźcie do ciemnego pokoju.“ Ciemny pokój! pomyślałby kto, że to jaskinia Sybilli... W duszy jednak nieszczęśliwy niezmiernie jest pomieszany. Po zapłaceniu za komorne, węgiel, drzewo, nie zostało mu ani szeląga w kasie. Jeśli się nie zjawią klienci, jeśli szafka z fotografiami, zawieszona na wystawie, nie ściągnie nikogo przechodzącego, cóż dzieciaki będą jadły na wieczerzę?... Ha, niech się dzieje co chce! Wszystko już ustawione na miejscu, oczyszczone, aż się błyszczy. Teraz wszystko zależy od przechodniów.

Chwile oczekiwania i udręczeń. Ojciec, matka, dzieci, wszyscy są na balkonie, przypatrują się, czatują. Cóż u licha! wśród ta-

we, kształt grobów, mogił i cmentarzysk wreszcie historyczno-literacki materyał; gdy się ta broń stępiła lub wypadła z rąk obrońców dawnego zapatrywania się na osiedlenia i rozciągłość typu niemieckiego w środkowej Europie— poszukano nowych dowodów na poparcie swych teoryi, a użyto w tym celu materyału osteologicznego i etnologicznego, zbieranego starannie w ostatnich trzech dzisiątkach lat.

Nie od rzeczy będzie podać chociażby w lekkich konturach rozwój tych badań, które dziś stanowią poważny materyał służący do rozstrzygnięcia kwestyi ras i narodów. Do roku 1858 w Anglii a 1859 we Francyi cały świat uczony był przekonany, że człowiek nie istniał równocześnie z zaginionemi zwierzętami, jako to z mamutem, wełnistym nosorożcem, hyeną plamistą i td. Nawet tak znakomity badacz jak dr. Buckland autor dzieła: *Reliquiae diluvianae* głosił, że współczesność człowieka jest bezzasadną mrzonką; i dopiero ścisłe zbadanie jaskini w Kent przez I. Enery'ego, a następnie jaskini w Brivham skłoniło Royal Society na posiedzeniu pod przewodnictwem Pengellysa w r. 1858 do oświadczenia się za współczesnością człowieka z zaginionemi zwierzętami. We Francyi pomnikowe dzieło Cuviera *Ossemens fossiles* zachęciło innych badaczów do poszukiwań a zwłaszcza usiłowania Roucher de Perthes w Abbeville, a dr. Bigollot w Amiens spowodowały, że w r. 1859 przyjęto we Francyi zasadę współrzędności człowieka z zaginionemi zwierzętami.

Począwszy od tego czasu, poszukiwania jaskiniowe i osteologiczne weszły na drogę naukową a systematycznemu badaniu tychże poświęciło się wielu znakomitych uczonych a niemniej i zakładane towarzystwa antropologiczno-archeologiczne przyniosły znaczyą korzyść.

Gorączkowe zajęcie się tego rodzaju wykopaliskami i naturalna dążność do dojścia do dodatnich rezultatów, były powodem, że z małej liczby czaszek wyciągano wnioski ogólne i w ten sposób uznano prawie powszechnie, że człowiek jaskiniowy należy do typu mongolskiego (mongoloider Tupus), które to zapatrywanie można po dziś dzień w wielu poważnych dziełach napotkać, dopiero ścisłe pomiary Virchowa wykazały, że czaszki te należą do rozmaitych typów, a tem samem poprzednia teorya jest fałszywą (artykuł Virchowa Archiv für Antropologie Bnd. VI § 85).

Szczupły materyał wykopalisk jaskiniowych nie nadaje się przynajmniej dotychczas do stawiania wniosków uogólniających, a co do kwestyi istnienia człowieka w trzeciorzędnej epoce (Tertiarrmensch) najnowsze dzieło N. Joly'ego (Der Mensch von der Zeit der Mettale Leipzig 1880) dotychczasowo dowody uznaje za niedostateczne.

W ostatnich dziesiątkach lat wzrósł znakomicie materyał osteologiczny wydobyty z grobów czasów względnie nam bliższych; spotykane obok kości przedmioty dają niemylne dane co do epoki a względnie i co do narodowości. otóż obecnie mamy dwa nowe dzieła opierające się na zdobytym materyale, Lindeschmita redaktora pomnikowego wydawnictwa *Alterthümer unserer heidnischer Vorzeit*, który w swem dziele *Handbuch der deutschen Alterthumskunde Braunschweig 1880*, stawia nową teoryę odnoszącą się do kwestyi niemców i germanów; a tenże sam przedmiot traktuje również profesor Kollmann z Bazylei, lecz z odmiennego zupełnie punktu widzenia (*Archiv für Antropologie Bnd. XIII*).

Lindenschmit, zastanawiając się nad początkami germanów, uważa dotychczasową nazwę i pojęcie aryów, jako bardzo chwiejne i nie wytrzymujące krytyki, wędrówka plemion aryjskich z Azyi nie ma podstaw naukowych i sądzi, że germanowie rozwijali się w swej dzisiejszej ojczyźnie i tu można śledzić ich początki, idąc wstecz aż do grobów najstarszej epoki a nawet wykopalisk jaskiniowych. Zdaniem Lindenschmita, który wraz z Eckerem specyalnie zajmował się wykopaliskami z czasów alemańsko-frankońskich, typem germanów jest czaszka dolichocephaliczna, bowiem takie przeważają w wykopaliskach alem.-frank., zatem czaszki, które nie należą do dolichocephalicznych należy odrzucić jako niegermańskie. Uznając niezmienność typu, szuka Lindenschmit tych samych cech u dzisiejszych niemców jakie niegdyś jego zdaniem odznaczały czaszki alemanów i franków, a spotkawszy takie typy w przeważnej ilości u któregokolwiek z ludów osiadłych w środkowej Europie poczytuje go za niemiecki, albo widzi w ludzie przewagę pierwiastku niemieckiego czyli według Lindenschmita germańskiego.

Prof. Kollmann znany pracownik na polu fizycznej antropologii nie spostrzega wybitnego typu w epoce alemańsko-frankońskiej, a jego wymiary wskazują, że przyjęty przez Lindenschmita typ dolichocephaliczny zajmuje tylko 43% czaszek znalezionych, większa część należy do kształtów mięszanych czyli mesocephalicznych przechylając się ku brachycephalicznym. Rozpatrując się w środkowej Europie p. K. widzi wszędzie przewagę typów mięszanych, który to fakt tłomaczy zmięszaniem ras, bowiem z zasady uznaje wprawdzie niezmienność typu, ale ona ustępuje pod wpływem zmięszania krwi. Wobec tych danych nie można mówić o prototypie w Niemczech, jak to chce Lindenschmit a przed nim Quatrefages, który w „Race prusienne“ czysty typ niemiecki widzi, w południowych Niemczech zaś posuwając się ku północy typowy charakter się zmienia następuje bowiem jego zdaniem przewaga krwi fińskiej.

Tak stała kwestya w ogólnych zarysach, gdy przyszła pod obrady Tow. Berlińskiego dla antropologii, etnologii i archeologii w bieżącym roku. Znany badacz Rudolf Virchow w następujący sposób ją rozstrzygnął (*Sprawozdania z posiedzeń powyższego Towarzystwa z r. 1881*, str. 68).

Jak wykazują statystyczne dane zebrane staraniem tegoż Tow. czysty typ niemiecki, jakim go chce mieć Lindenschmit, jest rzadkością tam, gdzie każdy by go szukał a mianowicie na zachodzie i południu Niemiec, tak że o jakiejś wspólności z wykopaliskami frankońskiemi i alemańskiemi mowy być nie może. Posuwając się jednak ku morzu północnemu, widzimy stanowczą przewagę blondynów, rosłych i muskularnych postaci, a co więcej kształt czaszek staje się względnie podobnym do „germańskich.“ I gdy na południu przeważa typ krótkogłowy, a idąc ku północy mięszany, to w Holsztynie, Schleswigu i wzdłuż morza baltyckiego mamy typ długogłowy.

Tę wybitną przewagę blondynów tłomaczy Kollmann w ten sposób, że słowianie są również blondynami, odróżniają się jedynie od niemców barwą ócz, a mianowicie słowianie mają ciemne oczy, zaś niemcy niebieskie, zatem znaczniejsza ilość blond typów na północy powstała ze zjednoczenia dwu ras blond, germańskiej i słowiańskiej, a to podwójne blond wywołało powyższą przewagę. Jeśli się zwrócimy do dawnych pisarzy, którzy byli bliżsi czasom istnienia rzekomego typu, to zdefiniowanie słowian pod tym względem nasuwa znaczne trudności. Są rzeczywiście pisarze, którzy słowian jako blondynów opisują; nawet ποῤῥοὶ nazywają się u Herodota Budinowie, należący prawdopodobnie do słowian. Lecz z drugiej strony mniemanie to i określenie nie jest regułą i tak mamy n. p. bardzo ciekawe sprawozdanie Ibrahima ibn Jakuba, kupca przebywającego na dworze cesarza Ottona I w Merseburgu właśnie w tym czasie, gdy cesarz przyjmował deputacyę bułgarską, który to szczegół posłużył p. Wiggerowi do oznaczenia daty pobytu na r. 973. Z Merseburga udał się Ibrahim do Czech. W swym opisie kraju i ludzi mówi wyraźnie o „dziwnem zjawisku,“ iż w Czechach przeważa ciemna barwa skóry i włosów. Tego samego wrażenia doznaje każdy, który i w naszych czasach do Czech przyjeżdża, a przewaga ta brunetów występuje najsilniej w okolicach, których ludność najmniej ucierpiała od napływu niemieckiego.

---

kiego tłumu przechodniów znajdzie się przecie choć jeden amator... Tymczasem, jak na przekór,—nie.

Tłum płynie w tę i wową stronę po chodniku; nikt się jednak nie zatrzymuje. No, przecie. Jakiś pan zbliża się do wystawy. Przypatruje się portretom, przygląda się każdemu z kolei; minę ma zadowolnioną, wejdzie. Dzieci zachwyone chcą już rozpalać ogień na kominku.

— Zaczekajmy jeszcze,—radzi rozsądnie matka.

Ach, nie omyliło ją przeczucie! Jegomość idzie sobie dalej, oglądając z nudów sklepy i wystawy. Pierwsza, druga... Coś się ściemniać zaczyna, na niebie pojawiają się ciemne chmury. Jednak na piątem piętrze można by jeszcze zrobić doskonałe fotografie. Na cóż się to zdało, jeśli nikt nie przychodzi? Co chwila wzruszenia nowe, zawiedzione nadzieje, kroki rozlegające się na schodach, tuż, tuż przy drzwiach, które się nagle oddalają. Raz nawet zadzwoniono. Ktoś się pyta o dawnego lokatora. Wszyscy mają wyciągnięte twarze, nawet łzy w oczach.

— To niepodobna— mówi ojciec...—Chyba ktoś zdjął szafkę naszą z wystawy... idźno zobacz, mały...

Po chwili chłopczyna wraca zmięszany.

— Szafka jest na miejscu, lecz nikt na nią nie zważa, jakby jej nie było.

Zresztą, deszcz pada... W rzeczy samej, krople deszczu zaczynają uderzać w szyby pracowni. Na bulwarze aż czarno od parasoli. Wszyscy z balkonu wracają do pokoju; zamykają okno. Dzieciom zimno; nikt jednak nie śmie zapalić na kominku ostatniej garstki węgla. Trwoga ogólna. Ojciec chodzi wielkiemi krokami, zaciskając pięści. Matka kryje się w ciemnym kąciku, żeby inni jej łez nie widzieli... W tem jedno z dzieci, które wybiegło na balkon korzystając z tego, że się na chwilę niebo rozjaśniło, puka żywo w szybę.

— Ojcze, ojcze... jest ktoś na dole przy wystawie.

— Prawda. Jest jakaś pani, bardzo przyzwoita osoba, doprawdy! Przypatruje się fotografiom, waha się, podnosi głowę...

Ach! jeśliby te wszystkie oczy, wpatrzone w nią z góry, posiadały siłę magnetyczną, jakże by co tchu pobiegła po schodach... Nakoniec dama powzięła postanowienie. Wchodzi, idzie na górę. Otóż i ona. Żywo zapałkę do ognia, dziatwa na bok, do pokoiku. Ojciec poprawia czapeczkę, matka rzuca się ku drzwiom, otwiera wzruszona, uśmiechnięta, szeleszcząc skromnie starą jedwabną suknią.

— Tak, łaskawa pani, to tutaj...—Podają jej krzesło z największą uprzejmością. Jest to osoba z południowych stron, trochę gadatliwa, ale bardzo dobra, a wcale się nie droży ze swoją osobą. Pierwsza próba się nie udała. No, mniejsza o to, można jeszcze raz sprobować! Wielkie rzeczy!... I bez najmniejszego niezadowolnienia, grzeczna dama siada znowu, opiera łokieć na stół, a na dłoni brodę. Fotograf układa malowniczo fałdy sukni, wyrównywa szarfy od czepeczka, a z za drzwi oszklonych słychać przytłumione dziecinne śmiechy i popychania. Dzieciaki potrącają się nawzajem, bo chcą widzieć jak ojciec wsuwa głowę pod sukno zielone, okrywające przyrząd i stoi tak nieruchomy, jak straszne

Ten typ brunetów napotykamy i u południowych słowian: słowacy i słowianie w Węgrzech są przeważnie ciemnowłosy. Nie możemy tedy przyznać słuszności wywodom Kollmanna, ale zarówno mylnym byłby wniosek, że wszyscy słowianie są brunetami, gdyż są nimi czesi, słowacy i węgrzy-słowianie. Na północy spotykamy to ciekawe zjawisko, *że każde z głównych plemion lub ras jest reprezentowane przez dwa odcienia*. Nietylko w Niemczech widzimy blondynów i brunetów obok siebie, lecz i słowianie dzielą się na te dwie kategorye, a co dziwniejsza, że i finowie, a mianowicie w ten sposób, że właściwi finowie są lniano-blond, zaś lapończycy są silnymi brunetami a blondyni należą u nich do wyjątków. Zatem u pokolenia, którego wspólne pochodzenie nie ulega żadnej wątpliwości, mamy u jednych wybitny typ blond, u drugich ciemny (*Sprawozdanie z posiedeń Tow. 1874*, str. 188).

Zdaniem więc Virchowa nie ma dostatecznych dowodów teorya, by charakterystyczną cechą ludów było zabarwienie włosów i mimo zgodności opisów dawnych pisarzy nie można wnioskować, by włosy blond decydowały o germańskiem pochodzeniu.

Podobna niepewność panuje i w kwestyi osteologicznej a właściwie craniologicznej. Bruneci są przeważnie krótkogłowi, co się w Niemczech wzmaga posuwając się ku południowi, zaś u finów stosunek jest wprost przeciwny. Lapończycy są krótkogłowi, finowie i estowie mięszani (mesocephal). W północnych Niemczech przeważają mięszani, skłaniając się ku długogłowym, zaś w południowych prowincyach większość jest krótkogłową. Toż samo można powiedzieć o innych ludach środkowej Europy. We Francyi panuje podobny stosunek, a wiadomą jest rzeczą, że najpierwsi badacze zgadzają się już na to, że Keltowie, składają się właściwie z dwu szczepów, południowego i północnego, które pierwotnie nic z sobą wspólnego nie miały i których jeszcze Polybius dzieli na Keltów i Galateów. Wskazując na tę różnicę, konstatujemy fakt, że podobne zjawiska spotykamy na całym obszarze środkowej Europy, i że kwestya ta nie da się rozstrzygnąć gołosłownem twierdzeniem, że ten lub ów naród posiada taki lub inny typ.

O keltach i galateach nikt na pewno powiedzieć nie może skąd przybyli krótkogłowi keltowie. Ponieważ przeważnie spotykamy ich na południu, zatem należałoby sądzić, że przybyli z południa, lecz nad morzem śródziemnem, na brzegach Afryki, Hiszpanii, Włoch i Grecyi typ krótkogłowy jest wyjątkiem. Virchow zatem jest zdania, że *typ krótkogłowy jest wspólną charakterystyką wszystkich ludów, które niegdyś zajmowały górzyste okolice środkowej Europy.*

Wojciech Gruszecki.

(Dokończenie nastąpi).

NOWOŻYTNE DRAMATA JEZUSOWE.

Jeden z najświeższych numerów znakomitego miesięcznika niemieckiego zawiera artykuł Rudolfa Gottschalla, który w streszczeniu poniżej podajemy.

Przedstawienia pasyjne Oberammgauskie wskrzesiły pamięć niemieckiej dramatyki pasyjnej i hiszpańskich „autos sacramentales.“ Postawiono nawet pytanie, czyby życia Jezusa nie przenieść z alpejskiej sceny ludowej na scenę artystyczną współczesną, aby je tam z najidealniejszej strony jego odtworzyć. Kościół katolicki zawsze popierał przedstawienia pasyjne; kościół protestancki również uważał je za „żywy obraz“ podań Ewangelii.

Historya męki Jezusa była już dawno przedmiotem utworów dramatycznych. Dość przytoczyć pierwszą tragedyę chrześciańską: „Christos Paschon,“ której autorem przypuszczalnym jest Grzegorz z Nazyanzu. Utwór ten trzymany jest w stylu tragedyi greckiej i jest wybornym dramatem z wytworną retoryką Eurypides był pierwowzorem autora. Ma on jedynie tylko ducha wiary wspólnego z przedstawieniami pasyjnemi. Od owego czasu t. j. od IV wieku po Chrystusie aż do naszych czasów, dramatyka Chrystusowa snuje się jak nić czerwona przez dzieje teatru. Epopeja Jezusowa w poezyi kunsztownej uwydatniła się kulminacyjnie w utworze „Messyada.“

W nowszych czasach zwrócono się znów do dramatyki Jezusowej, a niektórzy autorowie nie cofają się nawet przed myślą wystawiania utworów tego rodzaju na scenie. Głośne przedstawienia pasyjne w Oberammgau dały popęd ku temu.

Nasza jednak scena świecka sama przez się nie jest przydatną do przedstawień tego rodzaju. Farsy i wodewile grają na niej tak przeważną rolę, że poważna muza tragiczna, zwłaszcza w rodzaju powyższym, musi od niej stronić. Dramat Jezusowy oświetlony temi samemi lampionami, które wczoraj rzucały światło na kankana orgyi paryzkiej, byłby zbyt wielką psychiczną anomalią.

Cóż więc uczynić winien teatr aby mógł na deskach swych przedstawiać poważne sceny Chrystusowej tragedyi? Próbowano by przedstawienia te dawać w Wielki tydzień, gdy zwykłe przedstawienia ulegają przerwie. Inni chcieli usunąć jaskrawość dekoracyj i powrócić specyalnie w tym celu do prostoty sceny Szekspirowskiej, aby przez samą stronę zewnętrzną stosowny nastrój myśli wywołać. Inni jeszcze chcieli przedstawienia te odbywać nie w teatrach lecz w osobnych salach, dających pomieszczenie licznemu audytoryum. Słowem pod względem technicznym nie znaleziono dotąd gruntu dla owej dramatyki.

I pod duchowym względem brak dziś owej naiwnej wiary w podania religijne. Ortodoksi znów byliby niezadowolnieni z racyonalnego i artystycznego traktowania przedmiotu, któreby ich sprowadzało do ziemskiego widzenia rzeczy. Na straży prawdy dramatyki Jezusowej musieliby stać nie autor „Messjady“ lecz Paulus, Strauss i Renan, nowoczesna bowiem dramatyka znać może tylko człowieka, nie zaś Boga-człowieka Jezusa, a dramat jego dziejów musiałby spotkać los włoskiego dramatu *Jezus Chrystus* Feliksa Goveau, który, uzyskawszy przychylne przyjęcie swego utworu ze strony dyrektora teatru i prefekta Medyolanu, nie mógł go przedstawić z powodu rozpaczliwych wrzasków księży.

Pierwotnie wielkie uznanie ze strony władzy państwowej i publiki, a następnie zakaz z powodu wrzawy augurów, oto zwykły los prawie wszystkich dramatów Jezusowych.

Co się tyczy ich poetycznej wartości, z nowszych utworów tego rodzaju prócz Feliksa Goveau *Jezus Chrystus*, zasługuje na uwagę jeszcze Alberta Dulka *Jesus der Christ*, Elizy Schmidt *Judas Ischarioth* i hr. Rehbindera *Jesus von Nasareth*. Co do treści najbogatszym jest dramat Alberta Dulka. Możnaby go nazwać symfonią ewangeliczną; prowadzi on nas przez szereg scen, namalowanych wedle podań biblijnych, sięgając głęboko, podczas gdy inni dramatycy ograniczają się na przedstawieniu tragedyi męki Chrystusa.

Pierwszem pytaniem we wszelkim dramacie Jezusowym jest sam charakter bohatera. Czy Jezus bez nadania mu charakteru przechodzącej ludzkie pojęcie bozkości jest bohaterem dramatycznym? Tylko Elza Schmidt nie zrobiła z Jezusa takiego bohatera; zjawia się on w jej utworze jako postać świetlana, jako kontrast Judasza Iskaryoty, który u niej stanowi główny punkt ciężkości. Przeciwnie Dulk, Goveau i Rehbinder samego Zbawiciela wzięli za bohatera tytułowego swych dramatów.

Daleki od wszelkiej poziomej retoryki, jaką Eliza Schmidt zastosowała do postaci Zbawiciela, Albert Dulk bohatera dramatu swego, Jezusa Chrystusa, przedstawił w takiej pełni natchnienia poetycznego, że wyniósł go o całe niebo wyżej ponad podania

---

zwierzę z Apokalipsy, z dużem szklannem okiem. O! kiedy wyrosną, wszyscy zostaną fotografami... Nakoniec próba udaje się wybornie, artysta wynosi ją w tryumfie, woda się z niej sączy na posadzkę, ale któż na to zważa? W tych plamach czarnych i białych pani poznaje podobieństwo swoich rysów, staluje dwanaście kartek płaci za nie z góry i wychodzi zachwycona...

Odeszła, drzwi za nią zamknięto. Niech żyje radość. Dzieci wypuszczone z zamknięcia tańczą w koło aparatu. Ojciec wzruszony bardzo tym pierwszym utworem, uwieńczonym pomyślnym skutkiem, ociera sobie czoło z powagą; ponieważ dzień ma się ku schyłkowi, matka idzie żywo po obiad, dobry, smaczny, nadzwyczajny obiadek, a także — ponieważ wszystko robić trzeba porządnie — przynosi dużą księgę rachunkową w zielonej oprawie, w której się zapisuje starannie data obstalunku, nazwisko damy z południa i cyfra przychodu: dwanaście franków! Prawdę mówiąc, że pasztet, butelka Lafitu, na uczczenie dnia tak uroczystego, niewielki zapas opału, cukru, świec, słowem jednorazowy wydatek wynosi tyle właśnie co przychód. Ale, ba! jeśli dziś, w dzień dżdżysty, zaraz po przenosinach zarobiło się dwanaście franków, ileż to się jutro zbierze? I tak, cały wieczór schodzi na robieniu projektów. Trudno dać wiarę ile marzeń zmieścić się może w malutkiem mieszkanku, złożonem z trzech pokoików, na piątem piętrze od frontu!...

Nazajutrz, pogoda cudowna, i ani żywej duszy. Ani jednego klienta przez dzień cały. Ha, cóż począć? Handel to ryzyko. Zresztą, zostało jeszcze od wczoraj trochę pasztetu, dzieci kładą się spać nie bardzo głodne. Trzeciego dnia, nic jeszcze. Wyczekiwania na balkonie trwają nieustannie, lecz bezskutecznie. Dama z południa wstępuje po tuzin swoich kartek; nikt się nie zjawia więcej. Tego dnia wieczorem trzeba było zastawić jeden materac, na kupno chleba... Dwa, trzy dni podobne mają jeszcze. Teraz już prawdziwa nastaje nędza. Nieszczęśliwy fotograf sprzedał swoją aksamitną czapeczkę i płócienną bluzę; zostaje mu już tylko sprzedać aparat i przyjąć miejsce subiekta w jakim magazynie. Matka się dręczy, dzieci zniechęcone nie wychodzą już nawet na balkon.

W tem, w sobotę wieczorem, w chwili gdy sięniczego podobnego nie spodziewają, słychać dzwonek. Wesele, całe grono weselne weszło aż na piąte piętro, żeby się fotografować. Pan młody, panna młoda, drużba i druchna, poczciwi ludziska, którzy raz w życiu włożyli rękawiczki i chodzi im o to bardzo, aby wypadek tak wielkiej wagi uwiecznić na pamiątkę. Fotograf w tym jednym dniu zarabia trzydzieści sześć franków. Nazajutrz dwa razy tyle. Basta! Fotograficzny zakład wchodzi w sławę... Oto jeden z tysiącznych dramatów drobnego paryzkiego przemysłu.

i ciasną sferę biblijną. U Elizy Schmidt występuje Jezus z całą naiwnością biblijnej wielkości bez żadnego komentarza sceptycznego, ani usiłowań objaśnienia; u Alberta Dulka postać bohatera przestaje być zagadkową fantasmagoryą i zrozumiały ruch jej każdy, wszelki mistycyzm usunięty na bok, a cudowność biblijną zastępuje wysoki nastrój poetyczny.

W *Jezusie Chrystusie* Feliksa Goveau bohater występuje najczęściej ze słowem biblijnem, lecz w silnem rozumowem oświetleniu. U Goveau niema ani śladu mistycyzmu, podobnie jak u Dulka, niema żadnej tajemniczości nawet poetycznej i psychologicznej. Jako uzdrawiacz ślepego każe Jezus młodzieńcowi podać sobie igłę, aby dokonać staranną operacyę oka; zda się, że jesteś w klinice. Jako kusiciel Zbawiciela nie występuje szatan, lecz ksiądz, kapłan Hanna, który usiłuje go pociągnąć na usługi teokracyi i jej pretensyi do władania światem. Wreszcie w scenie z Maryą Magdaleną czysto ludzkie cierpienie kobiety przedstawione jest z całą ekspresyą. Utwór Dulka przejęty jest duchem walki z książmi, dążącemi do owładnięcia światem. Według przedstawienia Goveau Jezus jest synem kapłana. „Marya matka twoja — mówi kapłan Hanna, — była jako dziewczę służebnicą świątyni, połączyliśmy ją z Józefem i ukazaliśmy się jej we śnie i rzekli: iż porodzi syna z Ducha świętego, syna Najwyższego i że Bóg da mu tron Dawida.“

W dramacie Goveau występuje niemniej wybitnie i racyonalnie kwestya stosunku kościoła do państwa. Autor zapatruje się nań jak włoch z czasów Wiktora Emanuela. „Jesteście wrogami kościoła“ — mówi Jezus do księży. W dramacie tym autor przeciwstawia chrześcijaństwo Piotrowe, dążące do panowania nad światem — Janowemu. „Jednajmy prozelitów, — mówi Piotr — abyśmy w legiony urośli i byli potężni, a śmierć jego będzie pomszczona i my będziemy panować na ziemi.“ Magdalena, której autor czyni zaszczyt wypowiedzenia ostatecznego epilogu, odpowiada: „O Piotrze, jeżeli teraz gdy Jezus zaledwie skonał, tak słowa jego fałszujemy, cóż będziemy później czynić? Powstań młody Janie, powstań ukochany młodzieńcze i opisz, coś słyszał i co moje oczy widziały. Odłącz pamięć Zbawiciela od gwałtowników i ludzi złości. Napisz w imieniu Zbawiciela: Bóg jest światłością i nie masz w nim ciemności. Kto nie żyje, nie przyszedł do poznania Boga. Bóg jest miłością. Pisz o nim i powiedz to wyraźnie: on wyszedł z pośród nas. Ale nie, nie i nie; oni do nas nie należą; oni nie są dziećmi boskiego Jezusa.

W dramacie Goveau przeważa duch protestu przeciwko rozpanoszeniu księży i teokracyi papiezkiej, która jest tylko zamaskowanym przestarzałym judaizmem. Natomiast przedstawienie pozytywne postaci bohatera i jego moralności schodzi na plan drugi. Wielka tragedya męki odgrywa się za kulisami.

Hr. Rehbinder przeciwnie w końcowych aktach dramatu swego *Jezusa z Nazaretu*, nietylko przedstawia w całej pełni scenę ludową przed namiestnikiem rzymskim Piłatem, lecz ją nawet teatralnie przekształcił. Scena ta odbywa się u stóp Golgoty. Krzyż na prawo po za sceną nie jest widzialny, lud jednak słyszy ostatnie słowa ewangeliczne umierającego Jezusa.

Rehbinder w dramacie swym występuje przeważnie jako poważny kaznodzieja. Wspaniałą jest scena wypędzania przekupniów ze świątyni. Ustęp ten przypomina wydatnie protest Goveau przeciwko rozpanoszeniu księży.

W ogóle zachodzi poważna artystyczna wątpliwość czy postać Zbawiciela nadaje się do akcyi dramatycznej? Jezus należy raczej do epopei, i to do epopei przechodzącej niemal w hymny i oratoryum. Poemat Klopsztoka jest typowym utworem sławiącym Boga-człowieka, wobec czego naiwne podania biblijne i ludowe przedstawienia pasyjne nie mają żadnej artystycznej wartości. Wzrusza nas wprawdzie do głębi męczeństwo ludzi, których w kolizyach dziejowych tragiczny los spotyka, ale wielkość sytuacyi nierównie wspanialej przedstawia się w odległych perspektywach dziejów.

Bądźcobądź z utworów, które wzięliśmy pod uwagę, dramata Alberta Dulka i Elizy Schmidt pod względem poetycznym są genialne. W obu znajdujemy sceny pełne podniosłego natchnienia, rażą tylko miejscami przesadą i hypobulizmem wyrażeń, które u Dulka dochodzą do ekstazy a u Elizy Schmidt do pmetejskiej szczytności. Gdyby udało się utwory te przedstawić, przekonalibyśmy się, że są one również pełne wspaniałych efektów scenicznych, jak to można się było spodziewać po autorce, która poprzednio była artystką dramatyczną. Niestety, przedstawienie dramatu Dulka bez skróceń zajęłoby cały prawie dzień albo pół dnia przynajmniej. Dekoracye stanowią tu olbrzymie ramy dla całych mas poruszających się. Następstwem tych różnobarwnych tłumnych scen u Dulka jest brak poniekąd błysków siły dramatycznej, za to u Goveau nie ma ram tak szerokich. Dramat Goveau jest skupiony, epigramatyczny, Rehbindera należy do rodzaju deklamatorskich i jambicznych tragedyj.

Jest dosyć jeszcze innych dramatów o Jezusie ale nie wytrzymują one porównania z powyższemi.

S. Cz.

KORESPONDENCYE PRAWDY.

Z PETERSBURGA

Pomimo to, że siódmy dziesiątek lat w życiu intelektualnem i społecznem w Rosyi stanowi epokę odrębną, bardzo charakterystyczną i obfitującą w różnorodne rezultaty, dotychczas jednak literatura narodowa nie może się poszczycić utworem, któryby zawierał w sobie w tej lub innej formie bezstronny i całkowity obraz historyczny społeczeństwa owego. A byłby to obraz ciekawy: nowe hasła zabrzmiały w powietrzu, nowi apostołowie wystąpili wśród budzącej się z martwoty masy, która długo przecierała sobie oczy, olśnione nieznanymi blaskami, zanim nakoniec zaczęła się orjentować w swem nowem położeniu; rozpoznawać drogi i ludzi, którzy ją prowadzić chcieli. Drogi okazywały się nieraz błędnemi — ludzie bywali fałszywymi prorokami, lecz dziwić się temu bynajmniej nie należy, gdyż nowe formy życia nie spadają z nieba na głowy nasze całkiem gotowe, ale się wyrabiają drogą długiego procesu i zmian stopniowych, tak samo, jak się też wyrabiają i nowi ludzie. Pokolenie to, o którem mówię, za mało znalazło się przygotowane do tej roli, którą wytworzyły mu okoliczności następujące po wojnie krymskiej; pochwyciwszy zaś powiew ożywczy, całą piersią zechciało nim odetchnąć, odtrącając bezwarunkowo wszystkie prawie źródła życia umysłowego swoich ojców i ich ideały społeczne i rzucając się na każdem nieledwie polu w przeciwną im stronę.

Precz z sztuką dla sztuki, wołają młodzi, precz z powagami, precz z metafizyką, precz z niewolą kobiety, precz z konwenansami! Nie będąc w stanie tworzyć, rzucają się z zapałem do budzenia, a w szale tym, dającym się tłomaczyć zresztą uprzedniemi warunkami życia, porywają się nie raz niepotrzebnie na drogie społeczeństwu zasady w sposób gwałtowny i często niesprawiedliwy, to też mnóstwo rąk zbroi się w kamienie, kierując się w ich stronę i z wielu ust wylatują przekleństwa. Dziś jednak, po latach kilkunastu epoka ta należy do historyi, czas więc już spokojniej ocenić tę fazę burzliwą i wydać o niej sąd sprawiedliwy, zrównoważywszy jej zasługi i grzechy. W takim razie zapewne wypadnie przyjść do wniosku, że chociaż epoka ta, jak i wszystkie epoki przejściowe, stworzyła mało — ale oczyściła gościńce i przygotowała niwę dla późniejszych pokoleń, a dziś plon obiecuje obfity.

P. Achszarumow, w powieści swojej: *Cokolwiekbądź*, (*wo czto by to ni stało* Petersburg 1881 r.), zamierzył właśnie odtworzyć życie ludzi z pierwszych lat tego odrodzenia rosyjskiego i trzeba mu przyznać, że wywiązał się z zadania tego sumiennie i zadawalniająco, — jeżeli nie zbyt efektownie i świetnie.

Sympatye autorskie nas nie krępują, chowając się po za ludzi wprost z życia wziętych, ruszających się żywo przed naszemi oczyma w ich dążeniu do rozmaitych celów i stosunków wzajemnych. Główną osobą w tej powieści, jest nie bohater, lecz bohaterka Helena Ileckaja, młoda i ładna dziewczyna, obdarzona szlachetnymi popędami, energicznym temperamentem, zdolnością inicyatywy. Popędy te z początku zwłaszcza są dość nie określone, czuje ona czczość życia w kółku domowem, składającem się z wysokiego urzędnika ojca — ze strachem oczekującego urzeczywistnienia zapowiedzianej reformy; z sióstr — powierzchownie liberalnych i kuzynki, głęboko uczuciowej, bezinteresownej i „rozsądnej“ panienki, służącej, jakby za konieczną przeciwwagę, a raczej dopełnienie Heleny. Będąc zelektryzowaną powiewem reformy i powszechnem zajęciem losem włościan i wogóle braci młodszych, „Helena męczy się myślą, że jest istotą „pasożytną“ trutniem...“ „Goreje od wstydu,“ powiada ona, „przyznając się do tego i kawałek ten chleba zatrzymuje mi się w gardle. Weźcie go i dajcie mi swobodę, o nic więcej nie proszę; przysięgam, że ani chwili tu już nie zostanę, porzucę wszystko, ojca, rodzinę, pójdę za pierwszym, który mi wskaże drogę, chwycę się pierwszej pracy, która mi pozwoli żyć o własnych siłach...“ „Precz, precz stąd“ powiada bohaterka. „Ale dokąd?“ pyta ją obywatel sąsiad, p. Arbenin, człowiek stojący w środku pomiędzy nowymi prądami a starem życiem. „Doprawdy, nie wiem jeszcze,“ mówi Helena, wszystko mi jedno, tam w Petersburgu są ludzie i pracę, cokolwiekbądź, znajdę sobie. Pragnienie opuszczenia domu dla szerszej działalności staje się co raz gorętszem, dzięki temu, że szacherki ojca z majątkiem kuzynki, Lizy, którą krzywdzi, poniżają go bardzo w jej oczach i pozbawiają szacunku. Pragnąc w jakibądź sposób podziałać na niego, a zarazem zadowolnić swoje porywy do życia samodzielnego i pracy, Helena opuszcza dom rodzinny z pomocą starego pseudo-młynarza, właściwie zaś ukrywającego się skazańca politycznego i staje w Petersburgu, unikając stanowczo dawniejszych swoich znajomych, a nawet domu, w którym zwykle przebywa zimą cała jej rodzina. Z listem pseudo-młynarza, udaje się ona do młodego lekarza, niejakiego Pojarkowa z prośbą o wprowadzenie jej w świat nowy, o zaznajomienie z nowymi ludźmi i nakoniec o ułatwienie jej możności jakiego zarobku. Doktór lokuje ją naturalnie wjednem z licznych w owe czasy stowarzyszeń kobiecych, bardzo modnych i zwanych naówczas pompatycznie komunami, później przedstawianych często w zanadto już czarnych kolorach. Pierwsze wrażenie Heleny, dobrze wychowanej i obdarzonej poczuciem estetycznej panienki, w zetknięciu się z komuną nie mogło być miłem i zadawalniającem... Rzuciwszy okiem do koła, spostrzegła ona, blizko dziesięć osób, kobiet i mężczyzn, ubranych skromnie i prze-

ważnie młodych, napełniających pokoik. Kogo z nich miała uważać za gościa, kogo zaś za mieszkańca stałego, nie mogła dotąd rozstrzygnąć, nie widząc żadnych pretensyj do wyszukańszego stroju i najmniejszej różnicy w pozach i zachowaniu się. Niektórzy na wpół leżeli, inni zaś siedzieli przy stole z książkami; dym od papierosów, napełniający pokój, zaciemniał go znacznie, tak że w kątach, oddalonych od lampy było nawet dość ciemno. Zdziwiona całym tym widokiem Helena usiadła i poczęła się przysłuchiwać. Najbliżej koło niej mówiono o pierwszej szkole niedzielnej kobiecej, otwartej w przeszłym tygodniu i o zamierzonych zmianach w jej urządzeniu. Jeden z sąsiadów Heleny siedzący na poręczy krzesła, szczupły, z rozrzuconym włosem mężczyzna, powiedział, że był na ceremonii otwarcia i między innemi widział tam Helenę Piotrównę Hudymow z mężem...

— E, co to kłamie Pawlutin — wykrzyknęła, wyprostowując się na kanapie młoda, żwawa kobieta, jedna z mieszkanek tej komuny, jak się dowiedziała Helena. Byłam u Hudymowej onegdaj zrana i ani słowa nie słyszałam od niej o mężu.

— Zapewne potrafiła już go się pozbyć— zauważył Pawlutin.

— W każdym razie powiedziałaby mi o jego bytności, niema przecież potrzeby sekretów pomiędzy nami. W Moskwie codziennie prawie biegała do mnie wypłakać się i poskarżyć; i znam nie gorzej od niej tego nikczemnika, nie było sposobu znosić go dłużej więc wyjechała do Petersburga. Ma tu krewnych i oni to wystarali się jej o miejsce w szkole.

— Ale ma już troje dzieci — zauważył Pawlutin.

— A cóż to, chciałżebyś Pan, żeby kobieta pochowała siebie we 24 lata?

— Czy słyszałaś, Anno Pawłowno — zawołał ktoś od stołu, Cialdini pobił wojsko papieżkie z kretesem!

W tem wszedł gość nowy, literat Waraksin. „Przychodzę tu z „dzwonami“—zapowiedział z daleka. Wszystkie fizyognomie, przed chwilą trochę senne i apatyczne, ożywiły się nie do poznania. Książki, sąsiadujące z lampą, były odrzucone, damy, powolnie gawędzące na kanapie, zeskoczyły jak chłopcy, ze wszech stron obstępując Waraksina. Ten zaś ostatni przysiadł się do stołu, wydobył z kieszeni zatłuszczony numer pewnej bardzo modnej w te czasy gazety [1]), noszący na sobie wybitne ślady częstego przechodzenia z rąk do rąk, i, jak mówca, podjąwszy rękę do góry i rzuciwszy dokoła spojrzenie na swoje audytoryum, rozpoczął czytanie.

Artykuł wstępny rozsypywał się brylantami, grzmiał i pienił się w błyskach stylu swego autora, rekomendując i kreśląc programata... Odczyt nie był jeszcze skończony, kiedy kilka naraz głosów poczęło się spierać z powodu artykułu wstępnego. Jakiś skromny na pozór, gładko wygolony mężczyzna, nazwiskiem Iwerskij, trzymał się zdania, że teraz nie mamy potrzeby wdawać się z autorem, ponieważ jest „panem, my zaś — plebejuszami, powtóre, że jest on starym estetykiem i heglistą, u którego dawno już wszystko pomięszało się w głowie i który trzyma się tylko pięknemi słówkami. Woroksin cienkim dyskantem rzucił się na niego, lecz zdania wkrótce się podzieliły i słowo po słowie wzniecił się spór zażarty, którego temperatura podniosła się prędko do tak wysokiego stopnia, że nawet damy uderzały pięściami po stole.“

Cały ten widok i treść rozmów uderzyły do takiego stopnia Helenę, że z niecierpliwością czekała chwili, w którejby mogła wyjść z tamtąd. Doktór towarzyszył jej. Helena zauważyła, że ostatni różnił się od innych swoim spokojem, trzeźwością poglądów i dystyngowanem zachowaniem się.

R.

(Dokończenie nastąpi).

[1]) *Kołokol*, Herzen'a.

Z KRAKOWA.

11 sierpnia.

Nieraz zapewne Mickiewicz, będąc na wizycie w jakim małomieszczańskim domu, gdy chciał siąść na krzesełku, usłyszał od szan. gospodarstwa protest mniej więcej tej osnowy:

— Adam!... zrób mi to — siadaj na kanapie!

I Adam z pewnością siadał, przyparty siłą argumentacyj i żylastych rąk.

Podobna lokacya gościa — zwyczaj to bezwątpienia wielce chwalebny, uwidoczniający gościnność naszą; ale z tem wszystkiem nader nie wygodny! Jakie to nieraz człowiek przechodzić musiał tortury, gniotąc się na owej kanapie niby w żydowskiej szmuljerce, podczas gdy na krześle był panem siebie, rąk swych, nóg i łokci. Fala też cywilizacyjna, pochłaniając wszelkie tradycyjne zwyczaje, i temu nie darowała. Dziś o kanapie usłyszeć możesz co najwyżej u pp. burmistrzowstwa w Iłży lub Skaryszewie, w starym dworku głębokiego Polesia, albo wreszcie — w suplikacyach gazeciarstwa naszego.

Na wieść, iż w Krakowie utworzył się komitet obradujący nad postawieniem pomnika śpiewakowi *Grażyny*, lunął zaraz grad artykułów w tej sprawie, i nietylko u nas, lecz i w Warszawie — tak, że nawet ludzie aż z „Za góri dolin...“ Glejchenberga poczęli w tym celu psuć pióra (nie tak pewnie tanie za górami...), głosując właśnie za usadzeniem Mickiewicza na kanapie t. j. w głównym rynku krakowskim, najzaszczytniejszem miejscu po wszystkich małych miasteczkach.

Dajmy na to, że autor *Tadeusza* nie wart nazwiskiem swem ochrzcić jakiego placu, i nie wart mieć własnego kąta. Ale, skoro chodzi nam o to, aby pomnik imponował pięknością swą artystyczną, majestatem i wspaniałością wymiarów, to czyż w takim razie rynek krakowski, ów skład gratów archeologicznych, kościołów, św. Wojciechów, odwachów, wież ratuszowych i olbrzymich landar — Sukiennic, — może być odpowiedniem miejscem? Gdzież tu tło stosowne i niezbędna odległość perspektywiczna? Ten, co górował pieśnią nad innych, ten co „wzlatał do planet i gwiazd kołowrotu, co kładł dłonie na gwiazdach, jak na szklannych harmoniki kręgach, i kreślił je swoim duchem,“ — dziś poddańczo kurczyć się będzie pod wieżą ratuszową, odwachem austryackim i dzwonnicą, z której Goliany plują na świat ten cały!...

Według wszelkich praw zdrowego rozsądku, pomnik Adama w Krakowie ma dla siebie jedno najwłaściwsze miejsce—plac szczepański, ponieważ o klitkach Dominikańskich, Wszystkich Świętych, łącznie z Małym Rynkiem nie można nawet ani myśleć. On jednak dziwnie się nam nie podoba, nie dlatego, aby odmawiano mu okazałości, najbliższego sąsiedztwa z głównym rynkiem i graniczenia z plantacyami; ale dla tej prostej przyczyny, iż nazywa się Szczepański, ma podobno nierówny grunt, zły bruk i błoto, a nadto, że sprzedaje się na nim jarzyna, trumny, szkaplerze i flaki.

Co to za niedołęztwo tych projektodawczych naszych śmieciuszek! Wszakżeż wspomniany plac, w razie zawarcia z Adamem związków małżeńskich, może i — koniecznie powinien przezwać się Mickiewiczowskim; grunt zaś, jeśli istotnie jest tak nierówny, może być także zrównany i oczyszczony z błota, kapusty i podgarlanych kiszek. Wreszcie, jeżeli chodzi jeszcze i o to, iż kamienice tutaj wespół z gmachem teatru są nie zbyt ponętne, choć wszystkie prawie dwu i trzy piętrowe, — to zważmy przecie, że gdy plac Szczepański złączony zostanie z plantacyami, a sam przemieni się w powabny skwer, pełen róż i akacyj, wieńczących do okoła wspaniały monument słowika krymskich sadów,—wówczas bezwarunkowo zaczną tu się odnawiać stare i budować nowe domy. Obawiam się tylko, aby za dobre moje chęci nie wyklął mię z grona wiernych synów kościoła pewien naiwny, a wielce pobożny krakowski głosik, który ozwał się tutaj niedawno, radząc pomnik Mickiewicza postawić przed jezuickim kościołem św. Barbary, pomiędzy Panną Maryą i kamienicą z wystawą rękawiczek Czinczla, w miejscu — nie śmiejcie się — o mało co szerszem od uliczki Kapitulnej w Warszawie!

Wpływy do funduszu pomnikowego idą bardzo leniwo; do 100,000 fl. potrzeba nam jeszcze... więcej niż połowy! I gdyby też nie pamięć na tak marmurowe oblicze ofiarności naszej, proponowałbym miastu wybudowanie niezbędnego tu zakładu dla cierpiących na mdłości poetyczne.

Mam właśnie pod ręką kandydata do tej arcy-chrześciańskiej instytucyi. Jest nim niejaki p. Godziemba, autor przeszło 280-ciu *Pieśni*. W jednej z nich, abyś choć raz w życiu zaznał *Rajskiej chwilki*, podaje na nią dokładny przepis. Otóż najprzód masz się dobrze objeść gulaszu, mięsnej, silnie spaprykowanej potrawy, coś nakształt bigosu; następnie wypić parę kufli piwa, czy wina, i zdobyć „dziewuchę z czarnem okiem, co gdy czujesz je pod bokiem,“ to, Bóg wie co ci się nie robi!... Zresztą zezwólmy pośpiewać samemu kanarkowi:

A do wina, do kochanki
Garść tytoniu z Uj-Palanki,
I szemnicka krótka fajka,
Wtedy troski, to już bajka!

A przy dziewie, przy tokaju
Księżycową nocą w maju,
Gdy cię jeszcze huśta czajka.

Wówczas już — według p. Godziemby— dzieją się rzeczy okropne! Niby czarownica na Łysą górę, lub Eliasz do nieba, jedziesz wprost do raju! Płakać doprawdy chce się, iż ludzie na podobne trele marnują czas, atrament i pióra.

Nie przejęły mię również żadne niebiańskie drżenia, gdy wziąłem do ręki wydanie pośmiertne *Wierszy różowych*, słynnego marudera klasycyzmu, K. Koźmiana. Nie przeczę: rytm tu ma dobre swoje strony i język jest czysty, ale wszystko to, nie mówiąc już nic o ckliwych próbkach filonowej ligawki, takie rozlazłe, nudne i kute, jak całe *Ziemiaństwo i Stefan Czarnecki*, którego dziennie pod groźbą migreny nie podobna więcej czytać nad 10 do 15-stu wierszy. Przytem nasz pan kasztelan, jeden z czynniejszych członków towarzystwa wzajemnej adoracyi z epoki pamiętnej walki klasyków z romantykami, — budzi niesmak bielmem swych oczu, łżeniem na nowatorów, Adama i jego szkoły, oraz wielu znakomitych ludzi. Oto jeden z papierowych gromów, rzuconych z ciasnej izdebki p. referendarza:

Nędzny prochu! coś tyle wieków trudy ronił,
Chcąc odkryć, co Bóg mądrze przed tobą zasłonił...

. . . .

Najpodlejszym ze stworzeń jesteś niewolniku,
Tworze zmysłowy! Próżno duchem wznieść się kusisz!
Płazem jesteś nikczemnym i czołgać się musisz!

Paczkę tych pierników kasztelańskich otrzymał w upominku IMCI-pan St. Koźmian, z Poznania.

Cztery pieśni starej, niemieckiej epopei: *Der Nibelungen Noth* przełożone zostały na język polski przez prof. L. Germana. Część to dopiero wzruszających losów braci Nibelungów, ofiar zaciętej zemsty siostry ich, Krymhildy, żony Atylli. Przekład jest

czysty i miły; czy zaś wierny — sumiennie powiedzieć nie mogę — nie miałem bowiem dotąd sposobności porównać go z oryginałem.

Trupie tak zawsze miasto nasze, owo polskie Herculanum, przybrało w ostatnich dniach dość ożywioną postać. Przyczyną tego bynajmniej nie zawalenie się nowego domu p. Ginciga, i nie przejazd ze Szczawnicy laurenta salonu pani Deotymy, i nakoniec nie otwarcie Rady Miejskiej: lecz ogólny zjazd młodzieży z letnich wakacyj. Ruch na mieście, za miastem, po księgarniach i pensyonatach bardzo znaczny. Jedni zacierają ręce z okazyi, że powiodły się im egzaminy wstępne, inni — że zrobią na uczniach dobre interesy, a na ich czele — wędka zakładu wychowawczo-naukowego, ks. Pijar Słotwiński.

Doprawdy warto poznać niektóre paragrafy obowiązujących tam *praw i zwyczajów*. Zacznijmy przegląd skarbów tych od końca.

§ 32. Te prawdy, te rozsądne myśli i uwagi uczynią im (uczniom) wdzięcznym i przyjemnym ten tu sposób edukacyi i te wszystkie prawa i zwyczaje zakładu, z których, oby jak największy pożytek i t. d.

I jakież to są „te prawdy, te rozsądne myśli i uwagi!"

Oto: Nogi stawiać lekko, szyję trzymać prosto, nie świstać, paznokcie obcinać, kamizelki zapinać etc. etc. Ale bądźmy sprawiedliwi: są tu i rzeczy całkiem poważne, np:

§ 20. Uczniowie co miesiąc pisząc do rodziców i opiekunów swoich, mają się starać pisać jaknajrozumniej, i dlatego powinni dawać listy swe do poprawy profesorom i t. p... Co tu dalibóg ciepła w tym paragrafie! Choć bowiem wcale się nie zgadzamy z Pawłem apostołem, aby „mądrość tego świata miała być szałem przed Bogiem," — lecz nie możemy się i na to zgodzić, aby dla stylu, dla ładnych, wyrozumowanych frazesów, czyli dla — przypodobania się rodzicom konwiktorów, poświęcać serca biednych malców, tamować swobny wylew ich uczuć w chwilach żalu, tęsknoty, czy radości. Wszak podobna machinacya uczy kłamstwa, obłudy i fałszu, co częstokroć z wiekiem rozrasta się w potworne kształty innych płazów ducha i fizycznej ruiny człowieka. Wogóle nie jesteśmy zwolennikami jezuickiego podkładania tak wiedzy, jak i serca pod krzykliwą orkiestrę własnych interesów.

Nie piszemy się również na jeden jeszcze zwyczaj (§ 2), praktykowany w *Sacré Coeur* ks. Słotwińskiego, a mianowicie: każden z młodzianków, wstawszy o godz. 5$^1/_2$ rano i zżuwszy nie złą paczkę różańca, przy ubieraniu się ma zachowywać ścisłe milczenie; następnie od godz. 6-ej do 7-ej — milczenie, po południu od 5-ej do 7-ej i pół znowu — milczenie, wreszcie po wieczornych godzinkach jeszcze raz — milczenie.

Według nas, milczenia tego jest trochę za wiele. Zamiast ludzi żywych, ludzi z krwi, ciała i kości, wyhoduje się dla kraju martwej falangi idyotycznych automatów... w konfederatkach i polskich butach, na które, jak płotki na muchy, łapią się rodzice konwiktorów przemysłowego ks. Adama.

Nakoniec pewna krotochwila... Jeśli który z konwiktorów zbije tu np. szklankę lub szkiełko od lampy, i nie przyzna się do tego, oraz nie wynagrodzi szkody, natenczas — jak utrzymują powszechnie — każdy z wychowańców płaci oddzielnie za to szkiełko, czy szklankę, co naturalnie zdarza się najczęściej, wskutek obawy biednego chłopca przed oczekującą go *łaźnią*...

Spekulacya dość prosta.

Prawdzic.

Literatura zagraniczna.

John Veitch. The metod, meditations, aud selections from the principles of **Descartes.** Transladet from the original texts with a new introductory essay, historical and critical. Edinbourg and London 1879 r.

Wśród rozmaitych prac, jakie pojawiły się w Anglii ostatniemi czasy o filozofii Descartes'a, godnym jest przedewszystkiem uwagi wstęp, umieszczony przez p. Johna Veitcha na czele szóstej edycyi jego przekładu wybranych dzieł tego filozofa.

W części pierwszej tego studyum poświęconej specyalnie Descartes'owi, autor zaczyna od oceny słynnej maksymy filozofi *Cogito ergo sum*, która jest początkiem metafizyki kartezyańskiej. P. Veitch jednak wątpi aby maksyma ta była wogóle początkiem całej filozofii Descartes'a. Zwykle cykl jego myślenia tak bywa przedstawiany: wątpienie metodyczne; pierwsza pewna prawda czyli *cogito ergo sum;* pierwsze kryteryum pewności to jest oczywistości; pierwsza prawda sama w sobie czyli istnienie Boga; drugie kryteryum pewności czyli doskonałość boska, potwierdzona przez oczywistość, nakoniec prawa ogólne świata myśli i świata przestrzeni. Ten łańcuchowy splot myśli, chociażby nawet od początku do końca wiernie przedstawiał stopniowe ogniwa metafizyki kartezyańskiej, w umyśle filozofa poprzedzony został przez inny cykl myślenia. Descartes oznajmia nam, że cała jego filozofia jest wynikiem metody, a ta metoda, którą określił w zimie 1619 r. na wiele lat przed rozmyślaniami, jakie go doprowadziły do *cogito ergo sum*, nie może być uważaną jako wynik tej prawdy, pomimo głównej jej podstawowej zasady, która zabrania przyjmować jakąbądź rzecz za prawdę, jeżeli się oczywiście prawdą niewydaje, niepozwala przyjmować żadnego sądu tylko taki, który uwidocznia się tak bezpośrednio a prosto, że niepodobna go podawać w wątpliwość. *Cogito ergo sum* nie jest początkiem ale rezultatem metody, jest wynikiem analizy zastosowanej do świadomości, następstwem tego wątpienia metodycznego, które p. Veitch określił słusznie „jako badanie refleksyjne faktów i możliwość świadomości."

Co jednak było przyczyną, że Descartes podjął to badanie? Wtedy już zreformował matematykę, rozszerzył sferę analizy algebraicznej, wyprowadził ze swej metody główne punkta swej fizyki, postawił zasadę, że tylko jasne i określone pierwiastki naszych wrażeń to jest formy geometryczne i poruszenia są prawdziwe w świecie zewnętrznym. Zkąd to wątpienie o nauce już ustalonej? Ponieważ ta jasność i widoczność nieświadczy bynajmniej o prawdzie przedmiotowej rzeczy, z któremi wydają się związane. Tłomacząc te pomysły filozofa, autor używa terminów jemu nieznanych ale odzwierciedlających doskonale jego myśli. Podług niego nauka jest prawdziwą podmiotowo, ona jedna łączy w stosunkach jasnych i wyraźnych pojęcia jasne i wyraźne, ale nic nam jeszcze nie ręczy, że ta prawda podmiotowa jest prawdziwą przedmiotowo, że rzeczy są takiemi, jak o nich myślimy. Wątpienie Descartes'a niedotycze bynajmniej myśli tylko sądów, a opinia taka będzie zupełną jeżeli dodamy, że podług Descartesa sądy, odnoszące się do rzeczywistości rzeczy pomyślanych, przedewszystkiem podlegają wątpliwości. Raz popadłszy w wątpliwość, Descartes szuka takiego twierdzenia, w którem treść i istnienie (esencya i egzystencya) byłyby połączone w sposób tak nierozdzielny, że niepodobna zaprzeczyć jednej bez drugiego. Taki ma charakter *cogito ergo sum*. Descartes jest pierwszym myślicielem, który oparł filozofię na świadomości a szukając w tej świadomości pierwiastku mogącego zapewnić nas o jej pewności, zwątpił o prawdach matematycznych i świecie zewnętrznym, znajdując granice tego zwątpienia w świadomości swego *ja*, która mieści w sobie zarazem pewność istnienia tego *ja*. Ale Descartes niewyprowadza bynajmniej tego *ja* z aktu świadomości, niepojmuje myśli (cogito) jako pewnego rodzaju świadomomości oderwanej, odosobnionej od ściśle określonych aktów świadomości; *cogito* jest podług niego faktem konkretnym myślącego *ja*, jest to doświadczenie świadomości ujęte w określoną formę. Wbrew krytykom, którzy utrzymywali, że podług Descartes'a *ergo sum* jest dedukcyą z *cogito*, że o istnieniu naszem wnioskuje on z myślenia, p. Veitch twierdzi, że *cogito ergo cum*, jest oryginalną syntezą związku jakości i substancyi. Świadomość ogólna (notion commune) — jest refleksyjnym ugruntowaniem tego, co się zawiera w pierwotnej intuicyi; jeżeli jednak owa świadomość opiera się na intuicyi, można powiedzieć zarazem, że myśli się ona w tej intuicyi.

Huxley twierdził, że *jestem*, jest uwarunkowane przez *myślę*, że *cogito* nie jest bynajmniej twierdzeniem prostem ale trzema określonemi zdaniami: 1) coś nazwanego *ja* istnieje; 2) coś nazwanego myślą istnieje; 3) myśl jest rezultatem akcyi odbywanej przez *ja*, — że z tych trzech zdań tylko środkowe jest niewątpliwe a pierwsze i trzecie mogą być podane w wątpliwość. Podług p. Veitch'a *jestem* nie polega na *myślę* ale się w niem mieści, a formuła: myślę więc jestem, wynika z tego poprostu. Nie zawiera ona jak chce Huxley trzech oddzielnych zdań, gdyż w takim razie musielibyśmy posiadać oddzielne najprzód świadomości naszego *ja*, później świadomość myśli a nakoniec czynności odbywanej przez *ja*, wytwarzające myśl. Tymczasem świadomość naszego *ja* jest nierozdzielną ze świadomością określonego aktu myślenia i nawzajem świadomość myśli jest nierozdzielną ze świadomością naszego *ja*.

Jeżeli świadomość i istnienie mieszczą się w sobie wzajemnie, jakiż jest podług Descartes'a ich wzajemny związek? P. Veitch, zbijając różne poglądy, twierdzi, że podług Descartes'a *cogito ergo sum* jest tylko logicznem orzeczeniem, które przedstawia dwa wyrażenia jednego faktu. Celem jego nie było uchwycić stosunku zamiennego między temi dwoma pojęciami, ale ująć w fakcie istnienie rzeczywistości, o której nie można powątpiewać. P. Veitch zwrócił uwagę na to, że wątpienie metodyczne Descartes'a jest natury przedewszystkiem przedmiotowej, że sprawdza przedmiotową wartość naszych pojęć i sądów. Badając czy myśl ludzka jest wyrażeniem rzeczywistości, Descartes rozbiera pojęcia i szuka pomiędzy niemi takiego, z którem istnienie byłoby związane w sposób nierozdzielny, i znajduje *cogito ergo sum*. Jest to pierwszy krok wyjścia z obrębu wątpliwości. Przyjąć więc należy, podług wyrażenia Descartes'a, że „świadomość moja ujawnia moje istnienie, że logiczne i chronologiczne jest ono początkiem poznania." Razem z nią jednak daną mi jest moja istność. Istnieję o tyle, o ile jestem świadomy. Istnienie moje nie jest jednak złączone absolutnie ze świadomością chwilową. Jeżeli bowiem jest ono ujawnione przez świadomość w chwili określonej, to mój byt jednakże nie jest ograniczony tą chwilą; rzeczywistość mego świadomego życia jest czemś więcej aniżeli szeregiem świadomości po sobie następujących i oddzielonych jedna od drugiej. Nie jest to istnienie samo w sobie nieokreślone i chwiejne, jest to istnienie określone przez różne stany mej świadomości. Gdy mówię *jestem*, to znaczy *jestem tu lub tam*, jestem o tyle, że myślę o mojem istnieniu, o tyle, że posiadam świadomość w sposób określony, o tyle że czuję, rozumiem, pragnę lub chcę." Rysem zasadniczym filozofii Descartes'a, jak twierdzi

p. Veitch jest stwierdzenie samorodności (spontaniczności) pierwszego aktu poznania zawartego w *cogito ergo sum*. Posiadam świadomość i dla mnie jest to początkiem poznania istnienia. Od tego zależy wszystko co mogę po zatem poznać. Jest to dla mnie ujawnieniem bytu i ugruntowaniem poznania. Jest to utrwaleniem poznania na prawdziwej podstawie świadomej obserwacyi w określonej formie. Przez to Descartes inaugurował metodę oraz instrument filozofii, od których nie będą mogli odstąpić myśliciele bez zboczania na obłędne drogi abstrakcyi i bez wytwarzania mistycznych pomysłów czystego myślenia, to jest rozumowania oddzielonego od doświadczenia.“

Czy jednak *cogito ergo sum* pozwala nam wyjść po za granice *ja*? Chociaż jest ono niezaprzeczenie prawdziwem, czy jednak tkwi w niem powszechne kryteryum pewności, która nam pozwala przekroczyć granice naszej świadomej myśli, aby stwierdzić rzeczywistość będącą po za nami i rzeczywistość różną od nas. P. Veitch zwraca uwagę, że rzeczywistość stanowi kryteryum, którego zastosowanie jest dwojakie. Czy należy mówić, wszystko co jest jasne i wyraźne jest możliwe, czy też wszystko co jest jasne i wyraźne jest rzeczywiste? Pierwszą formułą nie przekraczamy naszego ja, przyjmując drugą, musielibyśmy utożsamić myślenie z bytem. Krytykując następnie Descartes'a za to, że niedostatecznie odróżnił te dwie strony prawdy, p. Veitch streszcza w sposób następujący teoryę jego o rzeczywistości świata zewnętrznego. Podług niej esencyą materyi jest przestrzeń, ale przestrzeń sama przez się nie upewnia nas o swej rzeczywistości, tak jak fakt wiadomości; możemy zaprzeczyć przedmiotowego jej istnienia bez kontradykcyi. Ponieważ przestrzeń znaną jest nam jako jej pojęcie, przeto zadaniem filozofii kartezyańskiej jest wykazać, że to pojęcie wyraża rzeczywistość. Podług Descartes'a przestrzeń jest dla mojej myśli rzeczą jasną i wyraźną, mam naturalną dążność wierzyć, że ona jest rzeczywistą. I rzeczywiście musi być taką, gdyż inaczej Bóg, istność najdoskonalsza i dobra, twórca mego bytu nie dałby mi zdolności omylnych i nie pozwolił by, aby zdolności te wprowadzały mnie w błąd, który mieści w sobie kontradykcyę. A więc rzeczy jasne i wyraźne, w których rzeczywistość wierzę są rzeczywiste. Widoczność *możliwości* i *rzeczywistości* rzeczy jasnych i wyraźnych ukazuje się zaznaczoną dokładnie w systemacie. Zanim ukażą się nam rzeczywistemi, — te rzeczy ukazują się nam przedewszystkiem jako możliwe. Nieistnienie wewnętrznej kontradykcyi jest w nich warunkiem *możliwości*, ale ta możliwość nie pociąga za sobą *ipso facto* rzeczywistości. Dowieść jej dopiero można uciekając się do idei Boga, w której istnienie związane jest z treścią w odpowiedni sposób. Ponieważ doskonałość boska zapewnila nam prawdziwość naszego poznania, dlatego więc i tylko dlatego jasność i widoczność stają się kryteryum rzeczywistości. Przez tę interwencyę idei Boga, spekulacya Descartes'a, która rozpoczęła nowy pochód od wiadomości naszego *ja*, zmienia punkt wyjścia i z doświadczalnej staje się metafizyczną. Ta zmiana frontu, jak się zdaje, w oczach p. Veitch'a jest zboczeniem jakoby od prawdziwego kartezyanizmu. Inaczej trudno byłoby objaśnić dlaczego w części historycznej swego studyum nie przyznaje nasz autor Spinozie tytułu prawowitego ucznia Descartes'a. Podług p. Veitch'a dzieło Descartes'a jest tedy główniefilozofią intuicyi, i z tego punktu widzenia raczej Leibnitz niż Spinoza jest bezpośrednim następcą Descartes'a. Opinia ta sprzeciwia się zdaniu badaczy filozofii, podług których system Spinozy zawiera rozwinięcie zarysów metafizyki rzuconych przez Descartes'a, który wyznaczył jej punkt wyjścia przez swoje określenie substancyi, rzeczy istniejącej samej w sobie, wyznaczył także jej granicę przez tożsamość, jaka podług niego zachodzi pomiędzy pierwszym początkiem rzeczy i bezwzględną wolnością. W filozofii Spinozy i Malebranche'a a nawet Kanta, Fichtego i Schellinga, wbrew twierdzeniom p. Veitch'a wielu krytyków angielskich widzi rozwinięcie zarodków kartezyanizmu, chociaż śmiałe i wybujałe pomysły idealistów i metafizyków odbiegły daleko od tej filozofii, opartej na intuicyi i obserwacyi. Podług tego w filozofii Descartes'a mieszczą się dwie dążności, jedna w kierunku, który obrali metafizycy ze Spinozą na czele, druga w kierunku mniej awanturniczej, bardziej pokrewnej z rzeczywistością i doświadczeniem filozofii Locke'go oraz jego uczniów.

L. L.

KORESPONDENCYA TALLEYRANDA.

II.

Powiedzmy z góry, że, jak nas przekonywają szczegóły korespondencyi między Talleyrandem a Ludwikiem XVIII, najdokładniejszem i najwięcej wyczerpującem ze wszystkich relacyi o kongresie wiedeńskim, jego przebiegu i zakulisowych robotach, jest opowiadanie Thiersa w XVIII tomie *Historyi Konsulatu i Cesarstwa*. Mimo to nie traci pomieniona korespondencya przez to na interesie i wartości, przeciwnie obfituje w zajmujące szczegóły, które bądź to treściwość opowiadania, bądź dyskusya autora historyi Konsulatu i Cesarstwa pominęły milczeniem.

Talleyrand opuścił Paryż dnia 16 września 1814. Po krótkim zatrzymaniu się na dworze bawarskim, stanął we Wiedniu d. 23 września. Pomijamy umyślnie w sprawozdaniu naszem, które choćby ze względu na rozmiary naszego pisma, nie może być zbyt rozciągłem, opisy spotkań i rozmów z najrozmaitszymi większymi i mniejszymi monarchami, z różnymi dyplomatami i generałami, których na bruku wiedeńskim wówczas pełno a którzy z niecierpliwością, każdy w nadziei uwzględnienia swego partykularnego interesu, czekają rozpoczęcia kongresowych narad. Opisy te nie są pozbawione ani pewnego wdzięku, ani ciekawości; są, jak francuz by powiedział, *piquants*. Trzeba nam przecież spieszyć do rozpatrzenia się w politycznej fizyonomii, w politycznych pracach i politycznych rezultatach kongresu, jak nam się z korespondencyi Talleyranda przedstawiają.

Akcya jego stawała się w znacznej części zależną od moralno-politycznego gruntu, jaki na miejscu zastała; kongres wiedeński pieczętujący faktem swego zebrania i obrad największe może wstrząśnienia, przez jakie Europa od czasu istnienia swego politycznego przeszła, jest, śmiało powiedzieć można, jedynym z wszystkich, w którego intencye, narady i postanowienia weszły jako ważny czynnik *zasady* natury moralnej i politycznej. Inne tego rodzaju rady i zebrania, nie wyjmując n. p. ostatniego z wszystkich, kongresu berlińskiego, trudnią się po prostu tylko specyalną kwestyą *interesu* tych i owych mocarstw, ustanowieniem i uregulowaniem bilansu strat i zysków, wynikających w ostatecznym rezultacie z mającego się ułożyć i załatwić zawikłania. Kongres wiedeński, dzięki mianowicie usposobieniu cesarza Aleksandra i jego otoczenia, znajdującemu do pewnego stopnia sympatyczny oddźwięk w podobnychże usposobieniach cesarza Franciszka i króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma III, dał w swych naradach i postanowieniach przystęp *zasadom*, nie mającym często nic wspólnego z kwestyami suchego, politycznego interesu. Najlepszym tej prawdy dowodem pozostanie podpisany uroczyście przez trzech monarchów akt św. przymierza, którego sensem moralnym pozostanie, cokolwiekbądź się z nim później stało, ściśle trzymanie się prawd chrześciańskiej moralności w polityce własnej i systemie europejskim. Konserwatyzm i legitymizm, jako dwie zasady politycznego znaczenia, zapowiadały stać się regulatorem kongresowych postanowień. Nie przeszkadzało naturalnie owo *przemycanie* pierwiastku *zasadniczego* w zamkniętą sobie zwykle dziedzinę *interesu* politycznego odzywać się owemu interesowi i jego reprezentantom bardzo donośnym głosem. *Zasada* walczyła przez cały ciąg trwania kongresu z *interesem*; pierwsza wpływała miarkująco na drugi; drugi nie pozwalał przyjść do zupełnego uznania pierwszej. Z podobnej sprzeczności, z podobnego antagonizmu wyrodziło się dzieło kulawe i połowiczne, starające się nieudolnie godzić *interes* z *zasadą*, cokolwiekbądź przecież jeszcze uznania godne w porównaniu z tem, co w rozrządzaniu losami Europy miało nastąpić później.

Talleyrand, przybywając we wrześniu r. 1814 do Wiednia, rozpatrzył się odrazu w charakterze podobnym kongresowego gruntu i zastosował doń nader zręcznie i umiejętnie politykę *interesu* reprezentowanego przez się państwa. Cóż wobec nowego położenia rzeczy europejskiego, zapytać by można, było interesem Francyi? *Terytoryalnie* nie mogła i niechciała nic żądać; dzięki względności sprzymierzonych, wyszła w pokoju paryskim z r. 1814 z lepszemi granicami, niż je posiadała w roku 1790; sięgać dalej, znaczyło to samo, co rozpoczynać niemożliwą i tylko już klęski zapowiadającą wojnę. Czego natomiast wymagał interes Francyi, to powrotu do owej polityki Ludwika XIV, której Francya nowoczesna tak doszczętnie zapomniała, a której tradycye świadomie czy nieświadomie żyły czy odżyły w Talleyrandzie. Polityka ta, warunkująca przewagę Francyi na lądzie stałym europejskim, polegała na opiece Francyi nad *słabszemi* z pośród państw europejskich, na podtrzymywaniu ich francuskim wpływem, złotem, czasem żołnierzem przeciw uciskowi lub zupełnemu zdławieniu przez *potężniejsze*. Podobne podtrzymywanie równowagi europejskiej za pomocą nieustającej działalności Francyi stanowiło tajemnicę potęgi jej w epoce Ludwika XIV. Cała sztuka zachowania jej nadal polegała na niedopuszczeniu, by u granic jej wyrosły jednolite, potężne organizmy zdolne zrównoważyć lub przewyższyć jej własną siłę. Wytworzenie się podobnych organizmów groziło Francyi polityczną asfiksyą, a Talleyrand pojmował prawdę tę,—mniejsza o to, czy świadomie, czy instynktowo, formułując ją w aksiom polityczny, „iż głównem zadaniem Francyi nie dopuszczać, aby Prusy wzrastały zbytnio w Niemczech, Austrya we Włoszech.“

Aby zapewnić przecież za pomocą podobnej gry przewagę Francyi nad kontynentem europejskim, aby się módz posługiwać podobnemi klawiszami, trzeba było naturalnie, *aby istniały*, aby zaś tam, gdzie w skutek rewolucyi francuskiej lub jakichbądź innych wypadków przestały istnieć, powróciły znowu do życia. Ponieważ zaś przedrewolucyjna i przednapoleońska przeszłość przedstawiały kartę Europy odpowiadającą najlepiej podobnemu interesowi Francyi, nadawała się z pozorami najzupełniejszej *bezinteresowności* zasada restauracyi, konserwatyzmu i legitymizmu, jako podstawa akcyi reprezentanta Francyi na kongresie wiedeńskim. Trzymanie się podobnej podstawy ze strony Talleyranda stawało się, *nie* jak u Metternicha, bezmyślnym i szkodliwym kultem doktryny, lecz po prostu praktyczną a ze względu na charakter kongresu i usposobienie zgromadzonych na nim monarchów zręcznie wyzyskaną rękojmią politycznego interesu Francyi. Nie wystarczało jednakże być zbroj-

nym w podobną zasadę, trzeba było jeszcze zdobyć Francyi w gronie reprezentowanych na kongresie mocarstw głos i stanowisko, którego jej koalicya europejska mimo upadku Napoleona i mimo dokonanego przewrotu odmawiała. Mimo restauracyi Burbonów, mimo traktatu pruskiego, mimo tych wszystkich wypadków, przekreślających nibyto rewolucyjną i napoleońską przeszłość, uważały się Anglia, Austrya, Rosya i Prusy za związane dotąd węzłem koalicyjnym, za rodzaj dyktatury pośród innych kongresowych mocarstw skazanych bezopornie słuchać ich postanowień. Francya mianowicie znalazła się wraz z Hiszpanią, reprezentowaną przez markiza Labrador, wraz z Portugalią, reprezentowaną przez hr. Palmellę, skazaną na zajmowanie podobnie podrzędnej roli. Zobaczmy według własnej relacyi Talleyranda, jak potrafił przełamać zaczarowane koło, w którem przedłużająca swe istnienie koalicya Francyą chciała zamknąć. Dnia 30 września odbyła się konferencya, na którą reprezentanci czterech mocarstw koalicyjnych zawezwali i Talleyranda. „Przedmiotem konferencyi dzisiejszej, powiedział mi lord Castlereagh, jest dać Panu wiadomość o czynnościach czterech dworów, odkąd się znajdują tutaj. Zwracając się następnie do księcia Metternicha, rzekł: Pan masz protokół. P. Metternich doręczył mi następnie dokument podpisany przezeń, hr. Nesselrodego, lorda Castlereagha i księcia Hardenberga. W dokumencie tym powtarzał się wyraz *sprzymierzeni* w każdym paragrafie. Podjąłem ten wyraz; zauważyłem, iż zmusza mnie do zapytania, gdzie jesteśmy, w Chaumont czy w Zaou, czy pokój nie zawarty, czy jeszcze jest jaki zatarg i z kim. Wszyscy odpowiedzieli mi, że nie przypisują wyrazowi *sprzymierzeni* znaczenia przeciwnego stanowi obecnych naszych stosunków i że użyli go tylko dla krótkości. Na to zauważyłem, że jakąkolwiek może być wartość krótkości, nie trzeba jej okupywać kosztem dokładności.

Co się tyczy treści protokółu, było to zbiorowisko metafizycznych rozumowań, mających na celu uzasadnienie pretensyi, opartych na nieznanych nam jeszcze traktatach. Wdać się w rozprawę nad temi pretensyami i rozumowaniami, byłoby to rzucać się w ocean gadania; czułem, iż trzeba odrzucić wszystko argumentem zasadniczym; przeczytałem kilka paragrafów i rzekłem: nie rozumiem. Odczytałem je na nowo spokojnie po raz drugi, z miną kogoś, co się stara odgadnąć sens pewnej rzeczy, i dodałem, że jeszcze mniej rozumiem. Dodałem: istnieją dla mnie dwie daty, między któremi nic nie ma; data 30 maja, kiedy postanowiono odbyć kongres; 1 października, kiedy się miał zebrać. Wszystko, co się stało w tym przeciągu czasu, jest dla mnie obcem i nie istnieje dla mnie.

Odpowiedzią pełnomocników było, iż im na tym dokumencie mało zależy i że się zgadzają na jego cofnięcie, co spowodowało ze strony P. Labradora uwagę, iż go przecież podpisali. Odebrali go. P. Metternich odłożył go na stronę i nie było o nim więcej mowy.“ W podobny sposób odrzucił Talleyrand, a za jego przykładem reprezentant Hiszpanii, markiz Labrador, inny, przedstawiony im projekt, którego sens moralny obracał się na tak zwane *majoryzowanie* Francyi przez mocarstwa koalicyi. Natomiast wystąpił Talleyrand z własnym projektem. „Wygotowałem,“ pisze, „pod dniem 1 października do ministrów pięciu innych mocarstw podpisaną przezemnie notę, oświadczającą, iż ośm mocarstw, podpisanych pod traktatem z 30 maja, zdaje mi się, dzięki tej jednej okoliczności i w braku pośrednika, być dostatecznie umocowanych do utworzenia komisyi, któraby przygotowała do decyzyi kongresu kwestye, potrzebujące spiesznego załatwienia, i zaproponowała utworzenie komitetów, których konieczność uzna, wraz z nazwiskami ich członków, lecz że kompetencya ich nie ma sięgać dalej; że nie będąc kongresem, lecz częścią tylko kongresu, gdyby sobie podobne komitety chciały przypisywać władzę należną tylko kongresowi, byłoby to uzurpacyą, której nie mógłbym podzielać i godzić z mą odpowiedzialnością; że trudność zebrania kongresu nie zmniejszy się z postępem czasu i że powinna raz przecież być zwyciężoną, nie można nic na odkładaniu jej zyskać; że małe państwa nie powinny bez wątpienia mieszać się w ogólne sprawy Europy, lecz że nie będą nawet tego pragnęły i nie będą pod tym względem stanowiły kłopotu; że wszystkie te powody skłaniają mnie tedy do żądania, aby ośm mocarstw zajęło się bezzwłocznie kwestyami przedwstępnemi kongresu, aby go można jak najprędzej zebrać i decyzyi jego poddać.“ Dalszy ciąg owej wstępnej akcyi Talleyranda, emancypującej Francyą od stanowiska podrzędności, na jaką ją koalicya europejska chciała skazać, stanowi odbyta tegoż samego dnia konferencya z Cesarzem Aleksandrem, której treść jest zbyt charakterystyczną, abyśmy jej nie mieli przytoczyć w dosłownem jej brzmieniu: „Po wyprawieniu powyższej noty,“ mówi Talleyrand, „udałem się na poufną audiencyą, jaką mi naznaczył Cesarz Aleksander. P. Nesselrode przyszedł mi oświadczyć z jego strony, że pragnie się widzieć ze mną sam na sam; zresztą przypomniał mi to sam Cesarz dnia poprzedniego na balu dworskim, gdzie miałem zaszczyt znajdować się z nim razem. Przystępując do mnie, wziął mnie za rękę; wyraz twarzy jego nie był, jak zwykle, serdeczny; jego słowa były krótkie; jego sposób zachowania się poważny, a może nieco uroczysty. Spostrzegłem się wyraźnie, że odgrywa wobec mnie plan z góry ułożony. Przedewszystkiem, rzekł do mnie, jakież jest położenie waszego kraju? Tak dobrem, jak tylko W. Cesarska Mość możesz sobie życzyć, a lepsze, jak się można było spodziewać. Usposobienie publiczne? Poprawia się z każdym dniem. Idee liberalne? Nie ma ich nigdzie więcej, aniżeli we Francyi. Ale swoboda prasy? Jest przywróconą z wyjątkiem małych ograniczeń, nakazanych okolicznościami; ustaną w przeciągu dwóch lat i nie przeszkodzą, aby aż dotąd wszystko co dobre i co użyteczne nie było publikowanem. A wojsko? Jest całe oddane królowi. 130,000 ludzi jest pod chorągwiami, a na pierwsze wezwanie może się z nimi 300,000 połączyć. Marszałkowie? Którzy, N. Panie? Oudinot? Jest oddany królowi. Soutt? Z początku był nieco kwaśnym; dano mu zarząd Wandei; postępował sobie tamże wyśmienicie; kochano go tam i szanowano. A Ney? Żałuje nieco swych dotacyi; W. Cesarska Mość mogła byś ten żal zmniejszyć. Obie izby? Zdaje mi się, że jest opozycya? Jak wszędzie, gdzie są korporacye obradujące; zdania mogą się różnić, lecz uczucia są jednolite; w różnicy zaś przekonań rządowe mają zawsze wielką większość. Ale nie ma zgody? Któż mógł takie rzeczy mówić W. Cesarskiej Mości? Skoro po dwudziestu pięciu latach rewolucyi, król w przeciągu kilku miesięcy znajduje się tak dobrze utrwalonym, jak gdyby nigdy Francyi nie był opuszczał, jakiegoż lepszego dowodu trzeba, że wszystko zdąża do wspólnego celu? Twoje położenie osobiste? Zaufanie i dobroć króla przechodzą me nadzieje. A teraz mówmy o nowych interesach; trzeba abyśmy się tutaj załatwili z nimi. Zależy to od W. Cesarskiej Mości. Skończą się prędko i szczęśliwie, jeżeli W. Cesarska Mość rządzić się w nich będziesz tą samą szlachetnością i wspaniałomyślnością, jakiemi się rządziłeś względem Francyi. Trzeba jednakże, aby każdy znalazł swe stosowne miejsce. A każdy swoje prawa. Zatrzymam, co zajmuję. W. Cesarska Mość nie zechce zatrzymać więcej po nadto, co Jej się z prawa należy. Jestem w zgodzie z wielkiemi mocarstwami. Nie wiem, czy W. Cesarska Mość zaliczasz Francyą do rzędu tych mocarstw. Tak, z pewnością; lecz jeżeli nie chcesz, aby każdy znalazł swe miejsce, czegóż żądasz? Kładę prawo przed dogodnościami. Dogodności Europy są prawem. Mowa ta, N. Panie, nie jest twoją, jest ci obcą, a serce twoje jej się wypiera. Nie; powtarzam, dogodności Europy są prawem. Wtedy to obróciłem się ku ścianie, obok której stałem; oparłem o nią mą głowę i uderzając nią w wyrób z drzewa, zawołałem. Europo, nieszczęśliwa Europo! Zwracając się do cesarza, rzekłem: będzież powiedziano, że ją zgubiłeś? Odpowiedział mi: Raczej wojna, aniżeli zrzeczenie się tego, co zajmuję. Opuściłem ramiona, a w postawie człowieka zasmuconego, lecz zdecydowanego, który wyrażał myśl: *nie będzie naszą winą*, — zachowałem milczenie. Cesarz nie przerywał go przez kilka chwil, następnie powtórzył: Tak, raczej wojna. Zachowałem tę samą postawę. Wtedy, podnosząc ręce i potrząsając niemi, jak tego nigdy u niego nie widziałem, a w sposób, który mi przypomniał ustęp kończący *Mowę pochwalną na cześć Marka Aureliusza*, zawołał raczej, aniżeli powiedział: otóż godzina reprezentacyi; winienem tam się udać, przyrzekłem cesarzowi; czekają na mnie. I oddalił się, potem jednakże otwierając drzwi, a wracając do mnie, ujął mnie obu rękami i ścisnął mnie, odzywając się głosem, który nie był jego zwykłym głosem: *adieu, adieu*, zobaczymy się! W ciągu tej całej rozmowy, której komunikuję W. K. Mości tylko ustęp najcharakterystyczniejszy, *Polska* i *Saksonia* nie były ani razu wymienione, lecz tylko oznaczane omówieniami. Tak to miał cesarz na myśli Saksonią, mówiąc: *Ci, którzy zdradzili wspólną sprawę Europy*. Na co miałem sposobność odpowiedzieć: *N. Panie, jestto tylko kwestyą daty*, a po małej pauzie dodałem: *i skutkiem kłopotów, w jakie można być rzuconym okolicznościami.* Raz wspomniał cesarz o *sprzymierzonych*; podjąłem to wyrażenie, jak to uczyniłem na konferencyi, a on zwalił je na karb przyzwyczajenia.“

W ten sposób udało się Talleyrandowi zyskać dla Francyi należne jej stanowisko w gronie kongresowych mocarstw, w ten dalej sposób przekonać Cesarza Aleksandra o materyalnej potędze Francyi, zdolnej w razie konieczności przeprowadzić, zwłaszcza przy nadarzających się aliansach, siłą kongresowy swój program. Na wskazanem co dopiero tle rozwija się przebieg negocyacyi kongresowych. Talleyrand kładzie kilkakrotnie nacisk tak wobec mocarstw kongresowych, jak w korespondencyi swej z Ludwikiem XVIII, nacisk na okoliczność, „że dyplomacya Francyi może śmiało i dumnie podnosić czoło, ponieważ nie występuje w imię żadnego samolubnego interesu, ale opiera się jedynie tylko na sprawiedliwości i prawie.“ Jakiego rodzaju ta bezinteresowność była i jaki cel sobie kładła, wiadomo nam już z powyższego opowiadania. Nie przeszkadza to przecież, abyśmy jej znów ze stanowiska *naszego* interesu nie mieli darzyć współczuciem. Zadaniem akcyi kongresowej polityki francuskiej stawała się restauracya, prawowitość i zachowawczość, ale w całej powadze i szczerości tych pojęć. Agenda jej reprezentanta obejmowała przywrócenie Polski w jej dawnych granicach; utrzymanie niepodległości Saksonii; powrót dynastyi Burbonów na tron neapolitański z obaleniem królewskości Murata; utrzymanie niezależności małych państw niemieckich wobec pretensyi Prus i unifikacyjnych aspiracyi osobistości, jak Stein i Hardenberg; wreszcie zachowanie praw młodszej linii domu panującego w Piemoncie wobec apetytu Austryi na zagarnięcie tegoż kraju po wygaśnięciu linii starszej. Dodaćby może wypadło do tych zadań polityki francuskiej pojawiający się raczej

w charakterze kwasu i niezadowolenia, aniżeli przedmiotu jakiejś praktycznej akcyi i kłopot z powodu uzurpatorskiej królewskości Bernadottego. Była to jednakże kwestya podrzędnej wagi, z którą się sam nawet ówczesny legitymizm francuski za pomocą uspokajającego sumienie swe monologu załatwił. Inaczej za to miała się rzecz z kwestyami wzwyż wspomnianemi, których europejskie znaczenie wraz ze sprzecznościami interesów, jakie wywoływały, absorbowało całą działalność kongresu, stawało się jego głównym czynnikiem. Żałujemy, że rozmiary naszego sprawozdania nie pozwalają nam w całej rozciągłości i malowniczości zamieścić rozmaitych szczegółów, odbywających się w przedmiocie załatwienia wszystkich tych zawikłań konferencyi, mianowicie dyalogów między Talleyrandem a rozmaitymi reprezentantami skłóconych z programem Francyi interesów, jak z Nesselrodem, Hardenbergiem, niekiedy Castlereaghiem i Metternichem. Wypada nam spieszyć ku streszczeniu głównych rezultatów, co nie przeszkodzi jednakże, abyśmy nie mieli przytoczyć co z charakterystyczniejszych dowodów sposobu myślenia Talleyranda w tej i owej ze wspomnianych co dopiero kwestyi. Główną z nich i naczelną stanowiła *Polska*. Różnica zdań między reprezentantami: Francyi, Talleyrandem, Anglii, Castlereaghiem a Cesarzem Aleksandrem była tu tem ciekawszą, tem więcej zastanowienia godną, że na pozór chcieli wszyscy spełnienia jednej i tej samej rzeczy. Talleyrand sam oddawał swemu angielskiemu koledze świadectwo, „że o ile jest dobrym w kwestyi polskiej, o tyle jest złym w kwestyi saskiej.“ Cesarz Aleksander pragnął przywrócenia Polski, *ale* pod swojem berłem i z odstąpieniem znacznych części kraju Austryi i Prusom. Talleyrand i Castlereagh byli stanowczymi przeciwnikami restauracyi *tego* rodzaju Polski, w skutek czego Cesarz Aleksander uważał ich i wskazywał wobec polaków, mianowicie wobec księcia Adama Czartoryskiego, jako przeciwników tejże restauracyi *wogóle*. Interpelował ich o to sam kilkakrotnie, interpelował za pośrednictwem księcia Adama Czartoryskiego, stawiając się zawsze w charakterze rzecznika rekonstytucyi Polski, zmuszonego walczyć z jej przeciwnikami. Przedmiot to zbyt blisko nas obchodzący, abyśmy nie mieli dosłownie przytoczyć przebiegu choć *jednej* tylko z licznych konferencyi, jakie się w tej kwestyi odbywały między Talleyrandem, Cesarzem Aleksandrem, Castlereaghiem, Metternichem, królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem III, jego pełnomocnikami: Hardenbergiem i Zlumboldtem, wreszcie księciem Adamem Czartoryskim. Wszystkie te rozmowy i konferencye przedstawiają nader zaciekawiający interes dla czytelnika *Korespondencyi Talleyranda*. Pozwolimy sobie, jak co dopiero powiedziano, przytoczyć dosłownie przebieg *jednej*, co najcharakterystyczniejszej. „Cztery dni temu,“ pisze Talleyrand pod dniem 25 października, „książę Adam Czartoryski, dla którego świat cały jest w Polsce, przyznał, oddając mi wizytę i tłumacząc się, że tego rychlej nie uczynił, iż przedewszystkiem powstrzymało go od tego usposobienie moje bardzo nieprzychylne dla polskiej sprawy. Lepszem ono, niż wszystkich innych, odpowiedziałem; chcemy ją mieć całą i niepodległą. Byłoby to bardzo pięknie, odparł, lecz jestto mrzonką, mocarstwa nigdy się na to nie zgodzą. A więc, odpowiedziałem, Polska nie jest już naszą główną sprawą na północy. Utrzymanie Saksonii obchodzi nas więcej; w pierwszym rzędzie podejmujemy tę kwestyą; w drugim dopiero kwestyą polską. Skoro wychodzi na kwestyą granic, jest rzeczą Prus i Austryi zabezpieczyć je sobie; pragniemy, aby były zadowolnione co do tego punktu; skoro jednakże będą zaspokojone co do swego sąsiedztwa, nie będziemy przeszkadzali, aby Cesarz rosyjski nadał krajowi, który mu będzie ustąpiony, formę rządu, jaką zechce. Za to ułatwienie z naszej strony żądam utrzymania królestwa saskiego. Insynuacya ta podobała się do tego stopnia księciu Adamowi, że wprost odemnie udał się do cesarza, z którym miał rozmowę trzechgodzinną. Rezultatem jej było, że hr. Nesselrode, którego niewidziałem nigdy u siebie od pierwszych chwil mego przybycia, przyszedł do mnie wieczorem, w celu uzyskania objaśnień, jakie mu dałem, nie wchodząc jednakże dalej w rzecz, aniżeli z księciem Adamem i starając go się przekonać, że zachowanie królestwa saskiego jest punktem, od którego W. K. Mości nie podobna odstąpić.“

W skutek tego wyznaczył Cesarz Aleksander reprezentantowi Francyi posłuchanie, którego przebieg odsłania w całej jasności i zrozumiałości stanowisko kongresowych mocarstw wobec sprawy polskiej i saskiej. „W Paryżu,“ rzekł Cesarz Aleksander do Talleyranda, „byłeś za istnieniem jakiegoś Królestwa Polskiego (d'un Royanme de Pologne); jak się to robi, że dziś zmieniłeś zdanie? Moje przekonanie, N. Panie, jest jeszcze toż samo. W Paryżu była mowa o przywróceniu całej Polski. Chciałem wtenczas, jak chciałbym dzisiaj, jej niepodległości. Obecnie natomiast chodzi o rzecz zupełnie inną, kwestya ta zeszła na oznaczenie granic, któreby zabezpieczały Austryą i Prusy. Nie powinny być zaniepokojone; zresztą mam 200,000 ludzi w Księstwie Warszawskiem; niech mnie zeń wypędzą; dałem Saksonią Prusom, Austrya zgadza się na to. Nie wiem, odpowiedziałem, czy Austrya na to się zgadza. Trudno mi w to uwierzyć, do tego stopnia jestto przeciw jej interesowi. Lecz czyż przyzwolenie Austryi może uczynić Prusy właścicielami tego, co należy do króla saskiego? Jeżeli król saski nie będzie abdykował, będzie wywieziony do Rosyi i umrze tamże. Umarł tam już inny król. Wasza Cesarska Mość pozwoli, że Jej nie uwierzę; kongres nie zgromadził się na to, aby patrzeć na podobny zamach. Jakto? Zamach! Cóż to? Czyż Stanisław (Poniatowski) nie był wywieziony do Rosyi? Czemuż by tam nie miał pójść i król saski? Przypadek jednego stosuje się i do drugiego. Niema tu dla mnie żadnej różnicy. Miałbym zbyt wiele do opowiedzenia! Wyznaję W. K. Mości, że nie wiedziałem, jak powstrzymać moje oburzenie. Cesarz mówił szybko. Jednem z jego orzeczeń było następne: Sądziłem, że Francya winna mi cośkolwiek. Mówisz mi ciągle o zasadach; wasze prawo publiczne jest niczem dla mnie; nie wiem, co to jest. Czyż sądzisz, że przywiązuję jakąkolwiek wartość do wszystkich waszych pergaminów i wszystkich waszych traktatów? (Przypomniałem mu traktat, mocą którego sprzymierzeni ułożyli podział Księstwa Warszawskiego między trzy dwory). Istnieje dla mnie jedna rzecz wyższa nad wszystko; jest nią moje słowo. Dałem je i dotrzymam go. Obiecałem Saksonią królowi pruskiemu w chwili, kiedy się połączyliśmy. W. C. Mość prryrzekłaś królowi pruskiemu dziewięć do dziesięciu milionów dusz; możesz mu je dać bez zniszczenia Saksonii. (Miałem spis ziem, które można było dać Prusom bez zniszczenia Saksonii, składały się na liczbę poddanych, zaręczonych im traktatami; cesarz wziął go i zachował). Król saski jest zdrajcą. N. Panie, nazwa zdrajcy nie może być nigdy dawana królowi; zależy zresztą bardzo na tem, aby mu nie była udzielaną. Być może, iż na ostatnią tę część mego zdania położyłem pewien przycisk. Po chwili milczenia, rzekł do mnie. Król pruski będzie królem Prus i Saksonii, jak ja będę cesarzem Rosyi i królem Polski. Uprzejmość, jaką mi Francya co do tych dwóch punktów okaże, będzie miarą ustępstw, do jakich i ja w sprawach ją interesujących, okażę się gotowym. W ciągu tej rozmowy nie oddawał się cesarz, jak w pierwszej, którą z nim miałem, wielkim wzruszeniom. Był stanowczym, a okazywał pewne rozdrażnienie.“ Treść tej rozmowy charakteryzuje aż nazbyt wyraźnie stanowisko Cesarza Aleksandra i połączonych z nim nierozerwalnie Prus w dwóch najważniejszych kwestyach, zatrudniających kongresowe mocarstwa. Cesarz Aleksander pragnął zachować dla siebie Księstwo Warszawskie nie bez pewnych ustępstw terytoryalnych na rzecz Prus, którym w zamian ofiarował *całą* Saksonią z zamiarem przeniesienia zdetronizowanej dynastyi Wettinów nad Ren, do Kolonii, jako sukcesorki dawnych elektorów kolońskich i trewirskich. Kombinacyi podobnej opierała się jaknajenergiczniej Francya w osobie Talleyranda, opierał się dalej nie bez pewnego wrażenia i powodzenia wobec mocarstw kongresowych sam uwięziony we Friedrichsfelde pod Berlinem król saski. Wyprawił do księcia regenta Anglii pułkownika Zeschau, którego misya nie pozostała całkiem bez skutku; prawo jego monarsze ważyło również nieco na szali postanowień zgromadzenia, które, cokolwiekbądź, obradowało pod hasłami konserwatyzmu i legitymizmu. Co najważniejsza zaś, uważali wszyscy mniejsi monarchowie Niemiec, mianowicie królowie, bawarski i wirtemberski, książęta hescy i sascy detronizacyę królewskiego domu saskiego za zamach, wymierzony pośrednio przeciw sobie samym. Odwrócić go, zapobiedz mu, stawało się w ich oczach obowiązkiem własnego zachowania. Małe te dwory niemieckie pospieszyły przez owych reprezentantów poprzeć Francyą w jej oporze przeciw pretensyom Prus i Rosyi; zaręczały jej pomoc; komunikowali Talleyrandowi cyfry kontyngensów, które dostarczyć gotowi do zastępu wspólnej obrony, skoroby tylko Francya zbrojnie wystąpić zechciała. Król bawarski mianowicie oświadczał się z gotowością wystawienia na ten cel poważnego zastępu 36,000 ludzi. Głównie też, jak widzimy, owa opozycya Niemiec samych dodawała reprezentantowi Francyi odwagi w jego działaniu i dawała mu prawo i podstawę niezwykle śmiałej postawy, kiedy Anglia i Austrya zachowywały chwiejną i niepewną postawę. Dobry, co więcej *wyborny* według świadectwa samego Talleyranda, *początkowo* w kwestyi polskiej lord Castlereagh, zapatrujący się na tęż sprawę w całkiem podobny sposób, w jaki się na nią zapatrywał Talleyrand, okazywał się chwiejnym, zbyt koncesyjnym dla Pruss w kwestyi saskiej. Mniejsza przecież o stanowisko i zachowanie się lorda Castlereagha w tej sprawie, ponieważ interes Anglii mógł do pewnego stopnia być obojętnym dla utrzymania niezależności Saksonii, dla kombinacyi, dającej Prusom wygodną granicę w sercu Niemiec, kiedy dynastya Wettinów miała spokojnie wegetować nad Renem. Żywotniej daleko i bezpośredniej wyrażał się interes *Austryi* w obu pomienionych sprawach; wymagał głęboko obmyślanej naprzód, następnie przecież stanowczej i energicznej akcyi. Nieszczęściem zbywa jednakże reprezentantowi kongresowemu monarchii habsburgskiej na tych przymiotach, a świadectwo, jakie Talleyrand, widocznie nie bez prawdy faktycznej, wystawia Metternichowi, nie dowodzi, aby książę kanclerz austryacki umiał sprostać swemu zadaniu w owej stanowczej chwili ważenia się najżywotniejszych zagadnień istnienia i przyszłości swego kraju. Wahanie się, niepewność, ostrożne krycie się za plecy innych zastępuje tu widocznie a bardzo kulawo własny i świadomy swych celów program polityczny. „Jego wystąpienie (hrabiego hanuowerskiego Munster w interesie ocalenia Saksonii) wobec Cesarza Aleksandra odbyło się nietylko z wiadomością, ale nawet na prośbę

księcia Metternicha. Nie wątpię o tem, jakkolwiek mi ani jeden, ani drugi tego nie powiedzieli. Austrya przeczuwa wszelkie następstwa projektów rosyjskich, lecz nie odważając się iść naprzód, wysuwa na pierwszy plan Anglią.

Książę Metternich, jakkolwiek wogóle powodujący się polityką bojaźliwą i niepewną, ocenia przecież zbyt dobrze opinią swego kraju i interesa monarchii swej, aby pojmować, że kraje austryackie otoczone przez Prusy, Rosyą i Polskę znajdującą się całkiem w ręku tej ostatniej, będą wiecznie zagrożone i że jedna Francya może im być pomocą w tym kłopocie."

J. N.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Biedni, obraz z życia ludu warszawskiego w 5-ciu aktach L. Świderskiego, przedstawiony w teatrze Belle-vue. — *Miodowe miesiące*, komedya w 2-ch aktach Madejskiego, przedstawiona w Nowym teatrze letnim. — *Sama*, jednoaktowa komedya E. Plouvier'a z francuskiego, przedstawiona w Nowym Teatrze Letnim. — *Siła złego na jednego*, dyalog w 1-ym akcie wierszem W. Szymanowskiego, przedstawiony w teatrze letnim.

Niższe warstwy mieszczaństwa naszego dotychczas są pokładem społecznym mało eksploatowanym przez sztukę, chociaż dla bystrego obserwatora sondującego w tajemnych głębiach życia, przedstawiają one dużo ciekawego materyału, byle tylko umiał z niego czerpać. Dotychczas na scenie ten żywioł dostarczał wątku do pospolitej komiki, albo nawet facecyi, ślizgającej się ulotnie po zewnętrznych śmiesznostkach, dopiero p. Świderski w *Biednych* wprowadził nasz dramat mieszczański na nowe tory, opierając go na podstawie głębszej prawdy życiowej. Pod względem pojęcia samego rodzaju oraz jego formy, autor poszedł drogą tradycyjną. Chcąc działać na masy, uciekał się nieraz do efektów silnych melodramatycznych, upostaciował morał sztuki wyraziście i dosadnie, użył deklamacyi w celach pedagogicznych. A jednak metoda jego tworzenia nie jest całkowicie metodą dramatów bulwarowych, nie polega tylko na zlepianiu jaskrawych, targających nerwy efektów z deklamacyjnem kaznodziejstwem. Ile razy autor pamięta o tradycyi rodzaju, tyle razy popada w efekt zewnętrzy lub w deklamacyę, jednakże natura realisty prze maga w nim po większej części, zasoby obserwacyi napełniają wyobraźnię, zamiast deklamacyjnych ogólników lub scenicznych niespodzianek, autor ukazuje ludzi żywych, figury i sytuacye skradzione naturze. Tak więc metoda tworzenia p. Świderskiego w tym utworze jest mięszaną: w ramach melodramu autor wstawia obrazy prawdy. Poddawszy zawartość sztuki elementarnej bodaj analizie krytycznej, przekonamy się, że ilekroć tylko autor chce wzruszać lub wypowiadać jakąś dążność, tyle razy wkracza w dziedzinę ogólnika lub zewnętrzną teatralność, ile razy zaś zapomina o tem, tyle razy jest dzielnym, pełnym energii i prawdy malarzem życia. Postacie dodatne sztuki są ulepione z gliny frazeologicznej. Stary posłaniec Marcin, prawiący kazania i jego córka Anna, mówiąca językiem książkowej uczuciowości, nie należą do figur w których płynie krew i tkwią kości. Nie jest to nic dziwnego, bo postacie dodatne wogóle są szkopułem dla autorów dramatycznych, jeżeli nie są oparte na jakiej silnej dodatniej namiętności, jeżeli autor nie umie poezyą ozłocić ich łagodnych zwykle konturów. P. Świderski jednak w mniejszych swych obrazkach dowiódł, że umie kreślić figury sympatyczne, okraszone rodzajową barwą, a jeżeli i nadal opierać się będzie tylko na obserwacyi to i w tym kierunku sprosta kapitalnym trudnościom dramato-pisarskim. Ile razy w *Biednych* autor wkracza na grunt ściśle realny, tyle razy talent jego odzyskuje zdrowy polot i staje się twórczym w wyższym znaczeniu słowa, daje szereg doskonałych figur charakterystycznych. Główna postać sztuki Paweł Zawrzał, czeladnik szewski, jest w zasadniczych rysach trafnie pomyślany człowiek, słabego charakteru, a dobrego serca, ulega pokusom gromadki kolegów, którzy go wyzyskują i rozpajają. Gdyby autor wyczerpał wszystkie rysy tego charakteru i bardziej szczegółową przeprowadził genezę jego upadku, dałby postać skończoną. Z pomiędzy całej galeryi figur najlepszym jest Obełgalski, zupełnie oryginalnie skreślona postać szubrawca, który z wyższych warstw społecznych, spodlony nałogiem, spadł w najniższe knajpiarskie nory, a sztukując wódką swój bezczelny humor, prowadzi nikczemne życie wyzyskiwacza i hulaki. Postać ta, jak się zdaje nie jest całkiem miejscowa, ale raczej napływowa, gdyż Obełgalski wielo-ma szczegółami okazuje, że swą knajpianą edukacyę pobierał tam, gdzie „czysta" jest bardziej w modzie, niż u nas. Oprócz Obełgalskiego, autor wskazuje nam cały szereg postaci narysowanych z mniejszą lub większą wyrazistością, ale branych z życia i opartych na obserwacyi. Cała rodzina pani Flejszerowej, reszta kompanijki knajpiarskiej, wreszcie pyszna postać stróża gospodarza domu, a nawet parę podrzędnych rolek epizodowych świadczą, że autor umie nawet postacie trzecio i czwarto-klasowe zakolorować barwami i odznaczyć rysami prawdy. Wątek dramatu polega na tem, że autor ukazuje upadek rzemieślnika, który poświęca życie rodzinne, pracę i ciche obowiązki dla uciech knajpianych, nie umie się oprzeć pokusom, upada moralnie coraz niżej, a zakosztowawszy dopiero cały szereg goryczy spodlenia i nędzy, wraca do rodzinnego domu jak do portu zbawienia. Autor snując naturalnie i prosto wątek losu bohatera, ujął z siłą prawdziwego talentu splot dramatyczności i komizmu, uchwycił rzeczywistość uwitą z łez i uśmiechów, ukazał w ciehem życiu wyrobnika naszego wzruszający dramat, który polega na starciu się namiętności z obowiązkiem i ukazuje strome pochyłości życia nieujętego w moralne i rozumne karby. W scenach epizodycznych występuje tu także w roli apostolskiej żyd Dawid, który w akcie drugim jako uosobieniem pracy i oszczędności, gromi kufelkowych towarzyszy, w akcie zaś czwartym ratuje w ostatniej nędzy żonę Zawrzała, uwalniając ze szponów nielitościwego właściciela domu, co za komorne pragnie stradować jej cały dobytek. Ów Dawid należy także do ogólnikowych postaci, chociaż autor nadał mu parę rysów specyficznie żydowskiego zdrowego rozsądku i użył go szczęśliwie do wypowiedzenia ważnych moralnych intencyj swej sztuki. Chociaż, ściśle biorąc, w drugim akcie bytność Dawida na Saskiej Kępie nie jest naturalną, gdyż taki poważny żyd po ogródkach się nie włóczy, jednakże bardzo w porę wypowiada on tam zasady wstrzemięźliwości i oszczędności, reprezentując tym razem dodatnie strony moralno-społeczne całego swego plemienia. Rolę zbawcy w akcie czwartym Dawid odgrywa w sposób zbyt opatrznościowy, zjawia się na zawołanie, jak duch opiekuńczy. Scena ta poczerpnięta z kroniki brukowej naszego miasta, nie dosyć jednak motywowana. Zarzucono autorowi, że zbyt skwapliwie uogólnił w sztuce jeden odrębny wypadek, ale uczynił to w celach etycznych, aby w osobie Dawida przedstawić objaw obywatelskich dążeń i poczucia solidarności żydów z resztą społeczeństwa. Pomijając wreszcie szczegółowe uwagi wyznajemy, że sztuka p. Świderskiego nietylko spełnia bardzo dobrze swe zadanie pedagogiczne, nietylko wzrusza i zajmuje, ale posiada sumę zalet estetycznych, które jednają aktorowi szczere uznanie głębszej krytyki. Środkowe akta są szeregiem scen wybornych, niekiedy nawet wzruszających i głębokich, ruch sceniczny postaci naturalny i żywy, co chwila szczegół jakiś świadczy o darze spostrzegawczym autora, który zapisał się stanowczo do rzędu wybitniejszych talentów dramatopisarskich. Charakter tego utworu, przypadł dobrze do poziomu i rodzaju gry artystów trupy p. Doroszyńskiego, z pomiędzy których wyróżnili się panowie: Linkowski, Hoffman i Królikowski grą bardzo dobrze uwydatniającą wszystkie intencye autora.

Wcale szczęśliwą próbką oryginalną są także *Miodowe miesiące*, dwuaktowa komedyjka p. Madejskiego, napisana wytwornie po francusku i zalecająca się w pierwszym zwłaszcza akcie żywym ruchem sytuacyjnym. Treścią jej są drobne swary młodego stadła, które zachmurzają lekko pogodę pierwszych chwil szczęścia. Ona kapryśna i rozpieszczona, on uparty trochę i ambitny, więc się trochę drażni. Gromadka kuzynków dolewa oliwy do ognia, stosunek się zaostrza, ale dobre serce żoneczki i prawość męża, wracają pogodę. Pod względem treści sztuka ta nie posiada pierwiastków godnych głębszej uwagi. Jest to filigranowa, zgrabna robótka, nie wolna od skaz, okraszona figlarnym, wesolutkim humorem. Zapatrując się na francuskie wzory, autor jednak nie był ślepym naśladowcą, ożywił postacie swej sztuki barwą swojskości, okrasił tu i owdzie sprytnym dowcipem. Widać tu zdolność lekką, wytworną i ruchliwą. Jak na pierwszą próbę pisarską komedya ta okazuje znaczną wprawę w technice i sceneryi. Zasługiwała ona na to, aby ją przedstawić w teatrze rozmaitości, który jest tak dobrą widownią dla utworów salonowych, gdyż w tearze letnim, pomimo wdzięcznej gry panny Wisnowskiej i dobrego wogóle wykonania, zatarły się niektóre delikatne barwy.

Niewiemy doprawdy co skłoniło p. Wacława Szymanowskiego do wyprowadzenia na scenę jednoaktowego dyalogu *Siła złego na jednego*, który drukował niegdyś w zbiorku swych gawęd i satyr? W czytaniu fraszka ta przyjemnie zajmuje swym zamaszystym humorem, rytmem wiersza czysto polskim, wzorowanym w formie Pola, ale bardziej od niej jędrnym i artystycznym. Na scenie zaś piękności wiersza z natury rzeczy schodzą na drugi plan (tembardziej, że wielu wybitniejszych nawet artystów nie umie u nas odpowiednio traktować poetycznej dykcyi), tymczasem ujawnia się wadliwość treści, która na humoreskę była może wystarczającą, ale jak na obraz poczerpnięty z przeszłości naszej, jest pomyślaną nie dobrze. P. Szymanowski należy do konserwatystów, którzy niejednokratnie podnosili głosy przeciw postępowej prasie, krytykującej bezwzględne apoteozowanie przeszłości. Tymczasem jednak pozwoli autor, że zmienią się nasze role, że postępowy krytyk zapyta konserwatywnego autora: dla czego nie umiał w tej przeszłości wynaleźć rysów godniejszych uwagi? Jego wojski, który uciekając przed hałasem babskim, opuszcza swe ważne stanowisko i dąży do obozu pod Chocim, nie umie się znaleźć jak przystało na opiekuna opuszczonych kobiet w czasie bojowym, te krzykliwe niewiasty, z których jedna bardziej tchórzliwsza od drugiej, mogą być względnie do epoki uważane za wyjątkowe chyba postacie, tembardziej, że kobieta polska nigdy chyba brakiem męztwa nie grzeszyła. Autora skusił tu widocznie Fredrowski humor w kreśleniu komicznych karykatur kobiecych, jego postacie przypominają galeryę z *Dam i Huzarów*, ale przecież poskromicielki szpon Marsa w tej komedyi, pomimo całych śmieszności, nie okazują bynajmniej takie-

go braku odwagi cywilnej. A jednak szczery, zamaszysty humor i rezon rycerski, jakim tchnie kilka scen „dyalogu,“ oraz czysto polskie zacięcie języka świadczą, że autor w tym rodzaju może pisać rzeczy wdzięczne i zajmujące byle tylko chciał swój artyzm formy zużytkować na treść bardziej typową i polską. Artyści, grający tę sztukę nie zawsze mieli dość zamaszystości i charakteru z wyjątkiem pani Borkowskiej i p. Rapackiego, którzy grali żywo i dziarsko.

Dla dokładności kronikarskiej wspominamy tylko o jednoaktówcej *Sama*, przedstawionej w nowym teatrze letnim, będącej bladą kopią *Fortepianu Berty* i innych bluetek opartych na tle sentymentalnym, w których małżeństwo klei się na poczekaniu, na jednem niespodzianem rendezvouz. Pomimo pewnego sprytu, robota to teatralna, szablonowa, tuzinkowa. Prześliczne jednak do tej błahostki napisał p. Tatarkiewicz piosenki, lekkie jak skrzydła motyle, pieszczące ucho srebrzystym wdziękiem melodyi. Szkoda tylko, że w tej sztuce wyglądają one jak perełki w tombakowej oprawie.

S. K.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 16 września.

Dominującym faktem politycznym minionego tygodnia był niezaprzeczenie zjazd piątkowy w Gdańsku cesarza Aleksandra III z cesarzem niemieckim. Zjazd ten nastąpił tak niespodziewanie, że pierwsza wiadomość o nim podana przez gazetę Gdańską, omal nie doznała zaprzeczenia ze strony organów rządowych niemieckich. Jak dalece zaś zależało tu widocznie na utrzymaniu tajemnicy, dowodzi fakt zarządzonego przez księcia Bismarcka śledztwa przeciw gazecie gdańskiej z względu na popełnioną przez nią niedyskrecyą. Podobno nawet wynaleziono już winnych w najbliższem otoczeniu cesarza Wilhelma i takowych pociągnięto do odpowiedzialności.

Sam zjazd gdański wywołał szereg komentarzy w prasach europejskich. O ile atoli w Niemczech tryumfowano ze zwycięztwa polityki niemieckiej o tyle z pierwszych odezwań się dzienników wiedeńskich czuć było pewien niesmak i niezadowolenie, podczas gdy we Francyi opinia publiczna zjazdem gdańskim na dobre zaniepokojona była, obecnie w Austryi uspokojono się całkowicie; tłómaczą sobie, że Niemcy nic przeciwko monarchii habsburgów przedsiębrać nie mogą ponieważ mimo wszelkiej rywalizacyi i dynastycznych niechęci potrzebują w równej mierze Austryi, jak tej zależeć może na dobrych z Berlinem stosunkach. A przedewszystkiem jeżeli zjazd gdański miał donioślejsze międzynarodowe znaczenie, wtedy bardziej uzasadnionem byłoby przekonanie, że była to demonstracya przeciwko Francyi skierowana. W takim położeniu rzeczy zjazd gdański byłby niejako postawieniem możebności koalicyi monarchicznych państw europejskich przeciwko republikańskiej Francyi, gdzie żywioły radykalne wzmagają się szybko i widocznie. W każdym razie na teraz wszelkie przypuszczenia co do znaczenia i powodów gdańskiego zjazdu nie mają gruntownej podstawy, ponieważ nie znanym jest przedmiot rozmowy monarchów, jak również i przedmiot konwersacyi dyplomatycznej księcia Bismarcka z p. Giersem. Okólnik tego ostatniego do reprezentantów rosyjskich przy dworach zagranicznych nie rzuca bynajmniej nowego na zjazd gdański światła.

Tymczasem w Afryce północnej stanowisko Francyi coraz więcej się komplikuje. W ostatnich czasach dwa ważne wypadki zaszły tam, a mianowicie: reprezentant francuski w Tunisie p. Rousten zawiadomił rząd swój, że bej tunetański potajemnie popiera powstanie. Na myśl tę nie trudno było wpaść oddawna wobec przechodzenia wojsk beja całemi masami do powstania wraz z bronią i materyałem wojennym. P. Rousten przyjechał osobiście do Paryża, gdzie stara się wykazać konieczność zajęcie Tunisu przez wojska francuskie. P. Barthelemy-de Saint-Hilairs opiera się temu wychodząc z najsłuszniejszego punktu widzenia rzeczy, a mianowicie twierdząc, że krok ten naruszyłby stosunek Francyi do mocarstw europejskich, które, jak Włochy i Anglia niechętnym patrzą okiem na rozsuwający się wpływ Francyi w Afryce północnej.

Drugim faktem jest rewolucya egipska. W Kairze wybuchła rewolucya wojskowa, która zmusiła wice-króla do zmiany ministeryum. Jeżeli zauważymy, że w chwili wybuchu rozruchów reprezentanci angielscy znachodzili się w pałacu wice-króla i pośredniczyli pomiędzy nim a przywódcami powstania to podejrzywanie angielskiej intrygi uzasadnionem nam się wyda. Wygląda to bowiem tak, jak gdyby reprezentanci angielscy zawiadomieni byli o wszystkiem i spokojnie oczekiwali na stanowisku spełnienia się dzieła przygotowanego ich ręką. Tymczasem reprezentantów francuskich rewolucya zaskoczyła niespodziewanie i nieprzygotowanych całkowicie. Przypomina nam to te czasy, gdy francuski reprezentant przy wice-królu egipskim spokojnie bawił się w Paryżu podczas gdy anglicy zręczną intrygą wykupywali akcye sueskiego kanału.

Obecnie w prasie i dyplomacyi mowa jest o zajęciu Egiptu przez wojska europejskie. Chodzi tylko o to, kto ma dokonać tej okupacyi. Możebna jest okupacya francusko-angielska, wszelako jeżeli rewolucya egipska przygotowaną jest przeciwko Francyi, w takim razie Angia zapragnie dokonać jej sama wyzyskując stosowną chwilę zajęcia tyle pożądanego kraju Faraonów!

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Postanowiono, że sprawy polityczne w państwie rosyjskiem sądzone będą od tego czasu wyłącznie przez sądy wojenne.

— Komitet statystyczny centralny porządkuje obecnie dane statystyczne co do przesiedlania się do Rosyi.

— Zarządzający kolejami południowo-zachodniemi wydał okólnik do władz kolejowych, w którym przypomina wyższym urzędnikom potrzebę wpływania na robotników kolejowych, aby nie brali udziału w rozruchach przeciw żydom.

Nauki. Stacye przyrodniczo-historyczne urządzono w różnych punktach państwa rosyjskiego. Stowarzyszenie miłośników przyrodoznawstwa, w celu dokonywania badań danej okolicy pod względem antropologicznym i etnograficznym, obsługiwane będzie przez stałych ekskurantów z wykształceniem uniwersyteckiem.

— Dwa kongresy hygieniczne zwołano na miesiąc wrzesień jeden w Medyolanie, drugi w Wiedniu.

Szkoły i uniwersytety. Przepis co do bezzwłocznego składania opłaty szkolnej przy zapisie jest obecnie ściśle stosowany według litery prawa.

— W szkole realnej p. Dikszteina w Warszawie przy ul. Twardej Nr. 14, odbyło się w obec inspektora szkół i gości, zaproszonych uroczyste otwarcie urządzonych staraniem i za inicyatywą zarządu Stowarzyszenia subiektów hadlowych bezpłatnych kursów wieczornych dla młodzieży handlowej i rzemieślniczej.

— Komisya mięszana w Petersburgu, składająca się z przedstawicieli ministeryum oświecenia, spraw wewnętrznych i finansów, zajmuje się kwestyą otwarcia wydziałów medycznych na uniwersytetach peterburskim i odeskim.

— Liczba nowowstępujących do uniwersytetu petersburskiego jest w roku obecnym znacznie mniejszą niż lat poprzednich.

Przemysł i handel. Biuro zarządu kolei iwangrodzko-dąbrowskiej otwarte zostało w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej.

—Jedyna w państwie rosyjskiem fabryka kart we wsi Aleksandrowsku pod Petersburgiem zatrudnia obecnie 500 ludzi i produkuje za 1,500,000 rs. rocznie; fabrykacya ta jest monopolem domu wychowawczego.

— Ogólny dochód z telegrafów według wykazu petersburskiego zarządu telegrafów r. 1880 wynosił dotąd rs. 7,696.661, w porównaniu z r. 1879 dochód zwiększył się o 695.692 rs.

Literatura polska. W Łomży powstaje nowe pismo polskie, *Echo łomżyńskie*, pod redakcyą miejscowego notaryusza p. Szumańskiego.

— Wyszły z drugu: *Obrazki z życia północno-wschodniej Afryki* przez J. Finkelhausa.

— *Biblioteki umiejętności prawnych* zeszyt ostatni zawiera ustawy hypoteczne i przepisy o zatwierdzaniu aktów notaryalnych, obowiązujące w Królestwie polskiem z objaśnieniami Feliksa Jeziorańskiego.

Literatura niemiecka. Frantz. *Die sociale Steuerreform* als die conditio sine qua non wenn der socialen Revolution vorgebeugt werden soll

— Gierke. *Deutsche Genossenschaftsrecht.*

— Lochnis. *Die Europäischen Colonien,* Kritik der deutschen Kolonial-projekte.

— *Von Nicolaus I zu Aleksander III.*

— Pfizmaier. *Die japanischen Werke* aus den Sammlungen der Häser.

— Trump. *Der arabische Satzban* nach der Anschauung der arabischen Grammatiker.

— Wüstenfeld. *Geschichte der Fatimiden-Chalifen.*

— Adelman. *Schwert und Feder* (Jena).

— Hintz. *Leibesübungen* des Mittelalters.

— Heimerdinger. *Das Stattern* und seine naturgemässe Heilung auf sprachgymnastischem Wege.

— Kruse. *Die pädagogischen Meinungen* des Michel Montaigne.

Sztuki piękne. Na wystawę warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przybyły następujące obrazy: Ejsmunta „Aby tylko w dobrem zdrowiu;“ Komara „Próba muzyczna;“ Meysnerowej „Kwiaty;“ Pane Nadziei „Widok Neapolu,“ Ruśkiewicza „Wodospad zielonego jeziora w dolinie Koperszagi w Tatrach;“ Sypniewskiego Złamane skrzydło;“ Winklerowej „Portret Mierzwińskiego.“

Teatr. P. Astarot napisał dwie nowe sztuki dla teatrów ogrodowych warszawskich, jedna nosi tytuł „§ 994,“ druga „Alhambra.“

— W Alhambrze dano po raz 100-tny przedstawienie „Czartowskiej ławy.“

— Po raz pierwszy w Warszawie przedstawiono w teatrze Bellevue obraz sceniczny p. t. „Biedni.“

Nekrologia. Maurycy Świętochowski, syn Aleksandra i Wandy z Trzcińskich, przeżywszy lat 7, zmarł d. 14 b. m. po kilkotygodniowych ciężkich cierpieniach.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Сентября. 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.